TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 36. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 21 maja / 2 czerwca 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Od redakcyi.—Michał Szubert (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa.— Ubiór niewiasty polskiéj w r. 1630 (z drzeworytem). — Obrazy wielkopolskie (z drzeworytem). — Bielany pod Warszawą (z drzeworytem). — Brochów (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Kommunikacye, przemysł i handel.— Dwa westchnienia, obrazek przez anonima. — Sprawozdanie dyrektora Instytutu muzycznego warszawskiego. — Doniesienia.

OD REDAKCYI.

Z dniem 30 czerwca r. b. kończy się tom piérwszy Tygodnika Illustrowanego, do którego dołączony będzie spis systematyczny zawartych w nim artykułów i rycin,—a rozpoczyna się tom drugi.

Trzymając się w głównych zasadach piérwotnie zakreślonego planu, starać się jednak będziemy, jak dotąd tak i nadal, o coraz większe doskonalenie naszego pisma, pod względem zalet zewnętrznych i wewnętrznych.

Obecnie właśnie wydawca Tygodnika, wraz z kierującym jego częścią artystyczną (p. J. Lewickim), udali się w podróż do Niemiec, Belgii i Francyi, dla sprowadzenia, w pomoc miejscowym, kilku jeszcze zdolnych drzeworytników, oraz dla przyswojenia publikacyi naszéj wszelkich ulepszeń zagranicznych.

Co do części literackiéj, redakcya zamierza w przyszłości większe dać rozwinięcie działom przeglądów piśmienniczych i podróży. Piérwsze przedstawiać będą dokładny ile możności, acz pobieżny, rys piśmiennictwa naszego, skréślony w sposób zajmujący i przystępny; drugie, odbyte przez rodaków i ozdobione stosownemi rysunkami, obznajmią bliżéj czytelników z krajem własnym i niektóremi ościennemi.

W rodzaju powieściowym posiadamy już w zapasie lub mamy przyrzeczone prace: T. T. Jeża, Zygmunta Kaczkowskiego, Józefa Korzeniowskiego, J. I. Kraszewskiego, Leona Kunickiego, Józefa Miniszewskiego (Cześnikiewiczą), Aleksandra Niewiarowskiego i Fryderyka hr. Skarbka. Chętnie przytém i gościnnie otwieramy nasze pismo i dla nowo-powstających talentów.

Obok artykułów poważniejszych, pomijać także nie będziemy zarysów humorystycznych, których serya, pod ogólnym nadpisem: „Chwila żartu i pustoty“, z tekstem i rysunkami, jeszcze w miesiącu bieżącym rozpoczętą zostanie.

Niekiedy pomieszczane będą w Tygodniku utwory muzyczne na fortepian lub do śpiewu, najulubieńszych kompozytorów krajowych.

Od włącznie Nru 41, to jest od początku tomu II, dawniejsza, zużyta już winieta tytułowa, przedstawiająca widok Warszawy od strony Pragi, ustąpi miejsca nowéj, rysowanéj jeszcze przez ś. p. J. F. Piwarskiego.

Ponieważ nakład piérwszego kwartału Tygodnika zupełnie został wyczerpany, przeto wydawca, dla dogodności nowych prenumeratorów, pragnących miéć komplet tego pisma, przystąpił już do powtórnego odbijania cztérnastu początkowych numerów w takiéj ilości, że z końcem czerwca będzie mógł zadosyćuczynić wszelkim pod tym względem żądaniom.

Cena Tygodnika wynosi w Warszawie:

rocznie . . .	8 rsr.	— kop.
półrocznie . .	4 „	— „
kwartalnie . .	2 „	— „
miesięcznie . .	— „	67½ „

Na prowincyi i w cesarstwie:

rocznie . .	12	rsr.
półrocznie .	6	„
kwartalnie .	3	„

Prenumeratorowie z cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, płacą *koperowe od każdego* egzemplarza rs. 2 rocznie.

Szanowni prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześnie na stacyach pocztowych, od tego bowiem zależéć będzie głównie regularny odbiór piérwszych numerów z kwartału następnego.

Zażalenia z powodu spóźnionego albo w złym stanie odbioru Tygodnika, nadsyłane pod adresem redakcyi, ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 391, załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem.

W końcu ponawiamy raz jeszcze uczynione już kilkakrotnie wezwanie do życzliwych wydawnictwu naszemu rodaków, ażeby przesyłać nam raczyli opisy i rysunki lub fotografie ciekawych miejscowości, pamiątek historycznych, dzieł sztuki, scen z życia ludowego, oraz wypadków bieżących w różnych okolicach kraju, jakiemi są naprzykład: poświęcenia pomników, zakładów dobroczynnych lub przemysłowych, uroczystości religijne, rolnicze i t. p. za które wydawca, na żądanie nadsyłających, gotów jest udzielać stosowne honorarya.

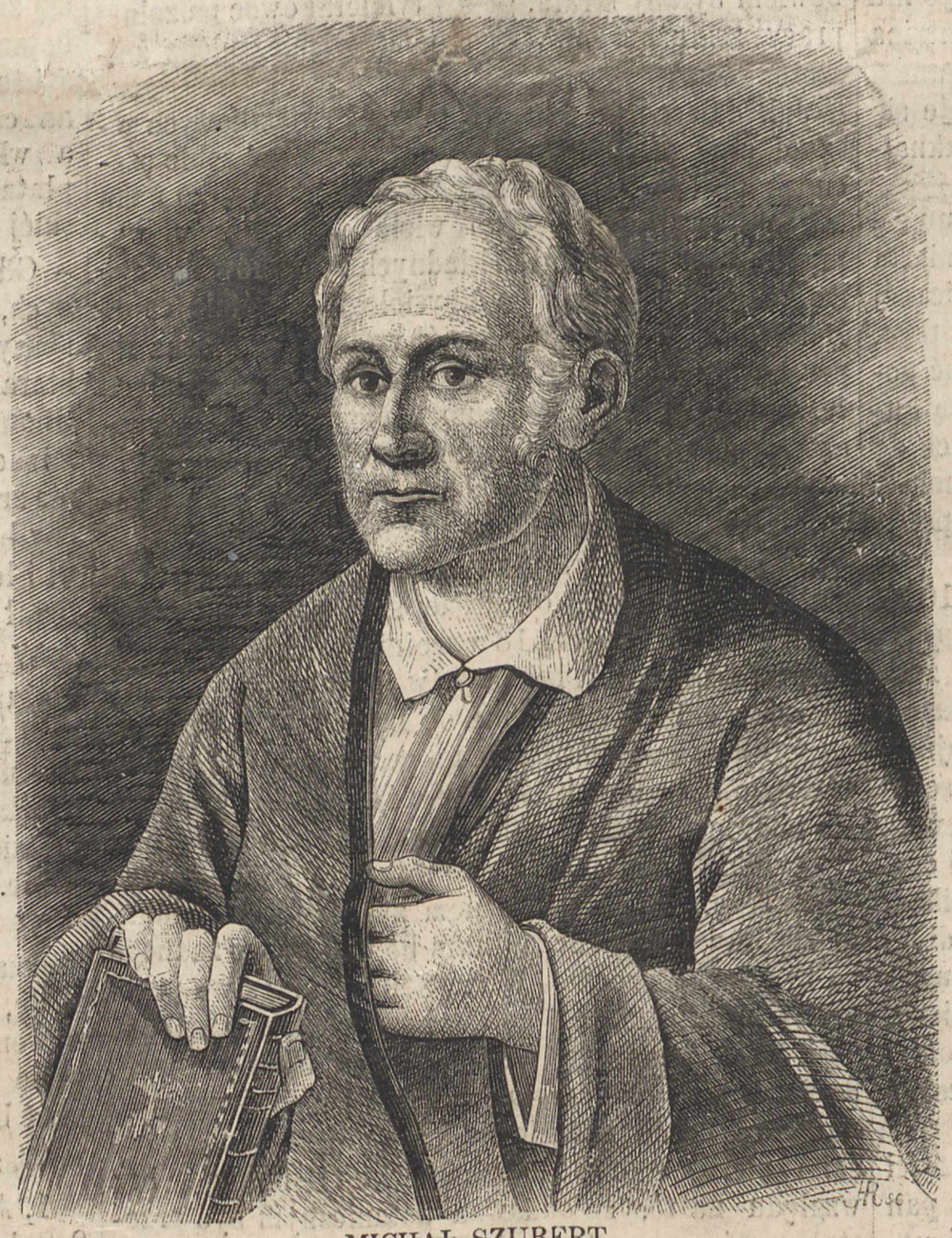

MICHAŁ SZUBERT.
Rysował J. Lewicki, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.

Michał Szubert.

W dniu 5 maja r. b. przeszedł na wieczny spoczynek nasz zacny patryarcha botaniki. Świéża, zielona sukienka ziemi, na widok któréj tak żywo drgało jego serce i co wiosna zapalało się nowym ogniem do studyów świata roślinnego, nie zdołała zatrzymać go dłużéj pośród nas, i dziś ten majowy kobierzec nie może już oddać mu innéj przysługi, jak chyba tylko osłonić jego mogiłę.

Żywot ś. p. Michała Szuberta, na poczciwéj i użytecznéj dla kraju pracy spędzony, nie może być obojętnym dla żadnego z rodaków; skreślenie więc jego, przynajmniéj w głównych zarysach, obok wizerunku tego zasłużonego męża, poczytujemy za święty dług powinności.

Michał Szubert urodził się dnia 18 kwietnia 1787 r. we wsi Ząbkach za Wisłą, o milę od Warszawy. Ojciec jego w dawnych czasach był marszałkiem u hr. Brühla starosty warszawskiego, późniéj zaś trzymał w dzierżawie dobra Ząbki za Wisłą. Po ukończeniu

pierwiastkowéj starannéj domowéj edukacyi, wstąpił do nowo otworzonego w owym czasie liceum warszawskiego, które ukończył z chlubą w r. 1808. Zwierzchność liceum, oceniając jego zdolności i zamiłowanie do nauki, zaraz po ukończeniu kursu nauk zatrzymała go przy tym zakładzie w charakterze kollaboratora. Niedługo wszakże piastował ten pierwiastkowy nauczycielski obowiązek: gdy bowiem w rokn 1809 ówczesna Izba edukacyjna postanowiła wysłać za granicę kilku ze zdolniejszéj młodzieży, w celu przysposobienia professorów do wyższych zakładów naukowych, Szubert, który zawsze celował w liceum jako wzorowy uczeń, a potém jako kollaborator, nie mógł być przy tym wyborze pominięty. Że zaś najwięcéj okazywał on zamiłowanie do botaniki, Izba przeto edukacyjna postanowiła go wysłać dla dalszego kształcenia się w tym przedmiocie do Paryża, gdzie wtedy było główne ognisko téj nauki: na widnokręgu bowiem botaniki jaśnieli tu wówczas: Desfontaines, Mirbel, a nadewszystko znakomity twórca metody przyrodzonéj, Jussieu.

Za przybyciem do Paryża 1809 r. w spóźnionéj już zimowéj porze, młody nasz botanik udaje się pod opiekę professora Desfontaines, i przedstawia się mu ze stosowną od Izby edukacyjnéj rekomendacyą. Desfontaines przyjmuje go bardzo uprzejmie i przyrzeka być mu pomocnym we wszystkiém czego potrzeba do wydoskonalenia się w botanice. Jakoż natychmiast wskazuje mu przedmiot do zimowych jego zatrudnień, podczas gdy kursa publiczne botaniki są zawieszone, a w szczególności radzi mu przestudiować niektóre ważniejsze dzieła botaniczne, jak: Lettres élémentaires sur la Botanique par J. I. Rousseau; Tableau du règne végétal selon la methode de Jussieu, par E. Ventenat i t. p. Przytém udziela mu bilet wolnego wstępu do wszystkich szklarni ogrodu botanicznego, aby mógł się oswoić z formami egzotycznych roślin. Dla większéj zaś korzyści dozwala mu z tychże roślin utworzyć sobie zielnik. Lecz żądny nauki młody nasz botanik, nie poprzestaje na tém: chce on prócz tego słyszéć koniecznie, i to zaraz, żywe słowo mistrza botaniki; do wiosny, na kurs Desfontaina, czekać mu za długo. Dobry przewodnik i téj ostatniéj potrzebie czyni zadość, wskazuje mu p. Poiret, prywatdocenta, który w duchu Desfontaina dla gorliwych słuchaczy i w porze zimowéj prowadzi wykład botaniki. Szubert natychmiast zapisuje się na privatissima do niego i uczęszcza na nie jaknajregularniéj.

Z nadejściem wiosny obszerniejsze otwiera mu się pole: czyni wycieczki botaniczne w okolice miasta i gorliwie studiuje żywe rośliny w szkółce botanicznéj wedle metody Jussieugo zaprowadzonéj, a obok tego, zgłębia coraz daléj zasady nauki. Aby lepiéj dać poznać jak na wtenczas pojmował naukę, którą całą duszą pokochał, i w jakich pozostawał stosunkach do owych wielkich botanicznych téj epoki luminarzy, przytoczymy parę ustępów z jego własnego raportu do Izby edukacyjnéj:

„Botanika, pisze on pod datą 29 czerwca 1810 r., zasadza się teraz na wiadomościach składu wewnętrznego i zewnętrznego roślin: trzeba więc dobrze znać organizacyą wewnętrzną i różne téjże organizacyi skutki. Część ta botaniki jest bardzo ważna i zajmująca; uważając bowiem jak roślina z ziarnka wschodzi, jak się potém rozwija i różne części, t. j. drewno, korę, liście i t. p. formuje; jak się daléj kwiat i części rodzajne rozwijają, a po wydanym owocu nikną; jakim się sposobem rośliny żywią i przez jakie drogi po wszystkich ich częściach soki się rozchodzą; uważając słowem cały skład wewnętrzny i różne odmiany, jakim rośliny od samego powstania do zgonu podlegają, dopiéro o jestestwach składających królestwo roślinne dobre można miéć wyobrażenie.

„Do nabycia wiadomości gruntownych w téj części botaniki najlepsza mi się zdarzyła okazya, gdyż pan Mirbel, jeden z najsławniejszych całéj Francyi fizyologów i obserwatorów, jest tak łaskaw dla mnie, że pozwala mi wspólnie z sobą robić obserwacye mikroskopowe, tyczące się organizacyi i fizyologii roślinnéj. A mamy osobną z tym p. Mirbelem izbę w rządowém muzeum historyi naturalnéj, od piérwszego ogrodnika nam do pracy ofiarowaną; mogę więc z każdéj chwili jaknajlepiéj korzystać, gdyż tam się znajduje i szkółka roślin, i kursa botaniczne tam się odbywają, a prócz tego wszystkich do nauki przedmiotów z największą łatwością w każdej chwili dostać mogę.

„P. Desfontaines zaczął swój kurs botaniki i fizyki roślinnéj 14 maja. Kurs ten dla mnie tém interesowniejszy, gdy o tém co p. Desfontaines podczas lekcyj wykłada, ja się potém przez własne obserwacye przekonać mogę, zwłaszcza gdy p. Mirbel jaknajjaśniéj mi to tłumaczy, w czém jaką mam wątpliwość. P. Desfontaines jaknajdokładniéj wyłożył już cały ciąg zasad botaniki, stwierdzając wszystko przykładami na żywych roślinach; teraz zaś przystąpił do wyłożenia familij naturalnych i rodzajów, podług których rośliny w ogrodzie są umieszczone.“

„Prócz obserwacyj mikroskopowych, przechodzę takoż z p. Mirbelem najważniejsze familie naturalne, zgłębiając wszystkie szczegóły organizacyi jak najdokładniéj. Obserwacye nasze najczęściéj rysujemy; lecz iżby można było oddać jaki szczegół w rysunku, potrzeba ten szczegół wprzód zgłębić. Przy pomocy p. Mirbela, znanego z dokładności w tym względzie, wiele skorzystałem, gdyż on mnie na dobrą naprowadza drogę.

„Bywam takoż na ekskursyach botanicznych, które p. Jussieu raz na tydzień odbywa w rozmaite okolice Paryża; kurs ten z tego względu bardzo pożyteczny, że na nim wszystkie rośliny dziko rosnące, na miejscu im właściwém poznać można. Prócz tego pan Jussieu, w ciągu téj ekskursyi, przy wymienieniu nazwy rodzaju i gatunku, zawsze zwykł czynić pewne ważne objaśnienia, z których wiele skorzystać można.“

W tak pomyślnych warunkach kształcił się nasz botanik blizko przez cztéry lata. W ciągu tego czasu, przy niezmordowanéj pracy swojéj i łaskawych względach professorów, a nadewszystko Mirbela, z którym się najwięcéj przy wspólnéj pracy zaprzyjaźnił, zdołał zebrać i systematycznie uporządkować zielnik przeszło z 7000 gatunków roślin. Zielnik ten, już za powrotem Szuberta do kraju, kosztem rządu został do Warszawy sprowadzony i był mu ważną pomocą w jego późniejszym zawodzie. Przy dalszych usiłowaniach swoich znacznie go powiększył, tak iż obecnie ów zielnik składa się z 14,000 gatunków. Dotąd jest on jeszcze własnością pozostałéj po nim rodziny, która zapewne zechce odstąpić go na rzecz któregobądź zakładu naukowego; nieodżałowana bowiem byłaby strata, gdyby tyloletni owoc mozolnéj pracy zasłużonego w kraju męża miał uledz zniszczeniu.

Jak dalece nasz Szubert, przy piérwiastkowych jeszcze studyach botaniki, potrafił zjednać sobie szacunek professorów paryzkich, a nadewszystko pana Mirbela, któremu bardzo wiele dopomógł w wypracowaniu licznych i dokładnych rysunków do jego dzieła p. t. Elémens de Physiologie végétale et de Botanique, w parę lat późniéj wydanego, można się przekonać z tego, że dla uwiecznienia jego pamięci, tenże Mirbel nazwał jedno z okazałych północnoamerykańskich drzew iglastych *Schubertia disticha*.

Zobaczmy teraz jakie koleje przechodził nasz zacny botanik w swoim dalszym zawodzie.

Za powrotem do kraju w r. 1813, na przedstawienie Rady nadzorczéj ówczesnej szkoły prawa i administracyi, pod dniem 18 września zostaje powołany na professora nauki leśnictwa w téjże szkole. W tymże roku odbiera wezwanie od Dyrekcyi edukacyjnéj do wykładu botaniki w liceum warszawskiém, w którém, jak wspomnieliśmy wyżéj, pełnił czas jakiś obowiązki kollaboratora; w listopadzie zaś 1814 r. otrzymuje nominacyą na professora tegoż liceum. Obok tego, za przyzwoleniem zwierzchności edukacyjnéj, otwiera publiczny kurs botaniki, bez żadnego za to wynagrodzenia. W r. 1816 towarzystwo przyjaciół nauk zaprasza go do grona swoich członków. W r. 1816 Kommissya rządowa spraw wewnętrznych, duchownych i oświecenia publicznego, powierza jego dozorowi ogród botaniczny, przy pałacu Kaźmirowskim pierwiastkowo założony, który i dotąd bez względu na to, że oddawna botanicznym być przestał, nosi nazwę *Botaniki*. W tym to ogrodzie Szubert przygotował główne materyały do założenia w r. 1818 dzisiejszego ogrodu botanicznego na obszerniejszą już skalę i w dogodniejszém miejscu, wyjednanie którego winniśmy staraniom ówczesnego ministra spraw wewnętrznych i policyi, hr. Mostowskiego. Po wcieleniu szkoły prawa i administracyi do uniwersytetu warszawskiego i utworzeniu specyalnéj szkoły leśnéj, Szubert w r. 1817 otrzymuje katedrę botaniki w uniwersytecie, w r. zaś 1818 katedrę leśnictwa w rzeczonéj szkole. W tymże 1818 roku kolledzy uniwersyteccy wybierają go na dziekana matematyczno-fizycznego wydziału; w rok zaś późniéj przyznają mu stopień doktora filozofii. Obok tego zostaje on zaproszony na członka Kommissyi egzaminacyjnéj województwa mazowieckiego, a następnie na członka Najwyższéj Kommissyi egzaminacyjnéj. W roku 1825, w nagrodę za starania i trudy dla ogrodu botanicznego podjęte, zostaje mianowany dyrektorem tegoż ogrodu.

Bez względu na tak rozległe obowiązki, Szubert, o ile wiemy z relacyi jego uczniów, godnie odpowiadał swojemu powołaniu. Jako professor nie pozostawiał nic do życzenia: wykład miał jasny i pociągający, a przytém charakter bardzo łagodny; dlatego téż powszechnie był kochany i szanowany, nietylko od swoich słuchaczy, lecz i od kolegów.

Największe wszakże zasługi ś. p. Szuberta odnoszą się bez wątpienia do dzisiejszego ogrodu botanicznego, który jemu niejako zawdzięcza swój byt. Jak skrzętna mrówka od samego założenia jego w r. 1818 aż po r. 1846 ściągał on do niego skarby, zkąd tylko mógł. Przy częstych wycieczkach za granicę, dokąd niemal co drugi rok, zwłaszcza za czasów uniwersyteckich, kosztem rządu był wysyłany dla zakupu roślin i nasion, zawiązał on rozległe stosunki, które bardzo korzystnie na pomyślność naszego ogrodu wpłynęły. To téż i wzrost jego olbrzymim szedł krokiem: już bowiem z końcem 1824 r., jak się przekonywamy z wydrukowanego wówczas katalogu, hodowało się w ogrodzie blizko do 10,000 gatunków roślin. A z jaką to ojcowską pieczołowitością pielęgnował on każdą, chociażby najmniéj pozorną, do ogrodu wcieloną roślinkę! Ileż razy ja sam zastałem tego sędziwego już starca, przygiętego do ziemi i własnemi rękami pielącego grządkę, aby oswobodzić, jak powiadał, swoje ulubione dzieci od napaści nielitościwych chwastów. Czynił to głównie dlatego, jak mi nieraz mówił, iżby nieświadoma rzeczy ręka ogrodniczka lub najemnicy, nie wyrwała razem z chwastem częstokroć na pozór nic nieznaczącéj, a w naukowym względzie bardzo ważnéj, roślinki.

Od roku 1830 obowiązki ś. p. Szuberta znacznie się zmniejszyły, pozostał bowiem tylko przy ogrodzie botanicznym i honorowym obowiązku członka Kommissyi egzaminacyjnéj. W r. 1832 został on powołany na członka honorowego rady lekarskiéj królestwa, a wkrótce potém przybrał sam jeszcze drugi bezpłatny obowiązek professora botaniki w b. warszawskiéj szkole farmaceutycznéj.

Gdy już na siłach, ciągłą pracą i wiekiem starganych, podupadać zaczął, dosłużywszy się całkowitéj pensyi emerytalnéj, opuścił płatne obowiązki dyrektora ogrodu botanicznego, co nastąpiło w r. 1846. Obowiązków wszakże bezpłatnych w Kommissyi egzaminacyjnéj, Radzie lekarskiéj i szkole farmaceutycznéj nie zrzekł się pomimo nadwątlonego stanu zdrowia. Zacny bowiem mąż ten pragnął być użytecznym krajowi i ludzkości, dopóki tylko sił mu starczyło, i dotrwał tym sposobem aż do roku 1852.

W nagrodę za te pożyteczne prace i naukowe dla kraju zasługi, ś. p. Szubert powołany został na członka Towarzystwa królewskiego warszawskiego przyjaciół nauk, Towarzystwa lekarsko-botanicznego londyńskiego, towarzystwa lekarskiego wileńskiego i cesarskiego towarzystwa badaczów przyrody w Moskwie.

W ojczystéj botanicznéj literaturze ś. p. Szubert piękną po sobie zostawił pamiątkę. Nie pisał on wiele, to prawda, z powodu licznych obowiązków, któremi był obarczony, lecz to co napisał, nacechowane jest gruntowną znajomością rzeczy i zawsze miéć będzie swoję naukową wartość.

Ważniejsze ze znanych nam pism jego są:

1. *Monografia sosny pospolitéj*, umieszczona w nr. 2 Sylwana z r. 1820 i w tomie XIV Roczników towarzystwa przyjaciół nauk z r. 1821.

2. *Rozprawa o składzie nasienia, początkowém rozrastaniu się zarodku i głównych różnicach składu wewnętrznego roślin*, umieszczona w tomie XVII Roczników towarzystwa przyjaciół nauk z r. 1824.

W rozprawie téj najlepiéj daje się widziéć, co Szubert wyniósł ze szkoły paryzkiéj. Precyzya w analizie nasion i dokładność w rysunkach, dowodnie świadczą, jak wiele skorzystał on pod kierunkiem Mirbela.

3. *Spis roślin ogrodu botanicznego królewskiego warszawskiego uniwersytetu.* W Warszawie 1824.

Spis ten pozostanie na zawsze pamiątką jego pracy i usiłowań dla tego naukowego zakładu podejmowanych.

4. *Opisanie drzew i krzewów leśnych królestwa polskiego.* Warszawa 1827. Dzieło napisane dla użytku młodzieży, sposobiącéj się do służby leśnéj.

Ostatki poczciwego żywota swego spędził nasz patryarcha botaniki w kółku dość licznéj rodziny, zawsze poważany i kochany, jako wzorowy małżonek i najlepszy ojciec. Częścią przepędzał on czas swój przy żonie w Warszawie, częścią przy dzieciach na wsi. Gdy w ostatnich czasach wybrał się do Płocka, dla odwidzenia jednéj ze starszych córek swoich, nagle upadł na siłach i wkrótce potém na dniu 5 maja r. b. oddał Bogu ducha na ręku żony.

Na smutną wieść o jego zgonie, oprócz członków rodziny, pospieszyło do Płocka liczne grono przyjaciół i wielbicieli cnót jego. Rozrzewniający był to widok, gdy na ramionach sześciu zięciów szły zwolna na wieczny spoczynek szanowne zwłoki jego, a niezwykły po-czet boleścią dotkniętych i ciężką żałobą okrytych członków rodziny, z żony, siedmiorga dzieci i wielu wnuków złożony, na przodzie orszaku pogrzebowego, postępował za niemi.

J. Al.

Kronika tygodniowa.

Kilkaset beczek miodu, tysiące gości, ośm dni trwania były zwykłemi okolicznościami królewskiéj biesiady; i aby podobne biesiady powtarzać się mogły jaknajczęściéj, ustanawiano „na chwałę Bożą“, to jest dla zachęcenia ludu do Bożéj wiary, jaknajwięcéj uroczystości świątecznych w roku, a po każdéj biesiadzie rozdawano jeszcze kilkaset grzywien ubogim. Co więcéj, chcąc nawet tych którzy chodzić nie mogli, albo którzy u dworu i w obec namiestników królewskich stanąć nie śmieli, przypuścić do udziału w powszechnéj wesołości, urządzano niejako ruchome uczty, to jest ładowano na wozy chléb, mięsiwa, ryby, tudzież mnogo jarzyn i owoców, dodawano do tego beczki miodu, poczém obładowane tak wozy przejeżdżały po miastach, pod przewodnictwem ludzi w głos wołających: „Gdzie są chorzy, ubodzy i wszyscy którzy chodzić nie mogą?“ I natychmiast udzielano im wszystkiego.

Tak się działo dawno, bardzo dawno, kiedy jeszcze nie było ani Bielan, ani omnibusów, ani kapeluszów panama, ani szyku angielskiego, ani gorsetów mechanicznych, ani kabryoletów o wysokich kołach, w których służący rozpiera się wygodnie, a pan powozi, ani powozów kolébkowych, zastępujących damom naszym miejsce łóżek i szesługów, ani tych szerokich sukien, co to wyglądają z powozów, jak gdyby im skrzydła z obu stron powyrastały. Czy od tego czasu świat zubożył się, czy wzbogacił, niewiem; ale już nie chodzą posłańcy roznosić jadło i napoje, i po parze sukien, i po dwie pary obuwia i wszelkie inne dogodności. Kto łaknie albo pragnie, ten może sobie kupić i o własnym koszcie święto obchodzić mu wypada. Dlatego téż skrócono miarę dni świątecznych i uszczuplono je, bo praca daje zysk, a ucztowanie wyczerpuje zasoby.

I cóż wam powiedzieć o Bielanach? Stara to piosnka, corocznie na inne odgrywana tony. Nawet dészczowa na Zielone Świątki niespodzianka nie nowém jest zjawiskiem: zwykle Bielanom pochmurne dni grożą. Tym razem i zimno do nich się przyłączyło, ale ludzie lubią na przekór naturze działać; więc téż i Bielany nie o wiele mniéj liczne były aniżeli w latach zeszłych. Już oddawna ten odpust w modną zmienił się przechadzkę; ludek tylko, jak ongi tak i teraz, zaczyna od Pana Boga, przepełniając kościołek i podwórzec kościelny, aby potém z dobrą myślą gwarne rozpocząć zabawy. Świat powozowy unika tego tłoku, w którymby krynoliny pogniotły się może; jedynym więc celem podróży jest lasek, w którym przechadzka tam i napowrót stanowi całe urozmaicenie zabawy.

Droga od zdroju zatacza się kołem,
Po jednéj stronie tłum, gwar i wesele,
Wytryska bawar, świerczą karuzele;
Po drugiéj stronie nad wiejskim kościołem
Krzyż.....
.....Po jednéj stronie warszawskie boginie,
W odświętnym stroju, w sutéj krynolinie,
Strojne w mantylki, z wzrokiem pełnym grotów,
Wciąż krążą, męzkich pilnując obrotów;
.....Po drugéj stronie pod święte sklepienia
Pobożne ludu unoszą się pienia,
Brzmi głos organów, śród kościelnéj nawy
. . . . . .
.....Nawet słowiki bielańskiéj dąbrowy,
Powystraszane arfami i trąbą,
Przestały dawne zawodzić rozmowy
I tłumić echo światowéj zabawy.
. . . . . .
.....Choć się tam ludzi nagromadza wielu,
Już nie umieją czuć jak dawniéj żywo;
Wprawdzie ich jeszcze łączy gałęź chmielu,
Ale niestety! przemieniona w piwo!

Więc woléj zwracam się do ciebie, o Prądniku, pośród ojcowskich skał szumiący. Dziwno ci musiało być, góralski strumieniu, przywykły do krętego rozwijania srébrnéj swojéj wstęgi przez opoczyste wyłomy, śród wdzięków dzikiéj natury, kiedyś nagle ujrzał wznoszące się na brzegach twoich pałacyki i hotele, mostki i restauracye, kiedyś usłyszał dźwięki trąbki pocztowéj i zobaczył tę liczną frakową i surdutową publiczność, którą Warszawa, Kraków i wsie okoliczne dolinę twoj zalały.

A ta dolina, ileż w niéj zmian w tak krótkim czaczasie ręka cywilizacyi zaprowadziła! Tam oporządziły się dawne domki, nowe wzrosły budowle, wytknięto ścieżki, zarzucono mosty, zasadzono kląby, poustawiano altany po górach, sprowadzono osłów (autentycznych) i rozliczne urządzono zabawy. Niedaleko od jaskini Łokietka stanął teatr; duch pogromcy Krzyżaków ujrzał nagle w blizkości swego przytułku córki Talii rozstawiające wędrowne namioty.

Na pochyłości Hełmowéj góry brzmiała muzyka góralska, a na sam szczyt tego ojcowskiego Himalaja wdarł się aparat fotograficzny, szukając pięknych widoków i przyjaznego słońca. Niestety! słońce skryło się za chmurę, ale widoków nie zbrakło. Owszem, szarawy odbłysk chmur i przepadającego co chwila dészczu, nadawał im pewien romantyczny odcień, uniepewniając kontury i zlewając odległości. Ziemia łączyła się z niebem w jednéj niewypowiedzianéj barwie, a chwilami przebłyskujące słońce złociło to wszystko, odkrywając czarowny krajobraz, w tęczowe mieniący się barwy.

Nie będę wam opisywał ani balu, ani teatru, chociaż bal był liczny względnie i spory przyniósł dochód, choć i odnowienie znajomości z towarzystwem artystów pana Pfeifra utwierdziło we mnie przekonanie, że towarzystwo to wychodzi już za zakres trup prowincyonalnych, i słusznie tak wielkiém cieszy się wzięciem.

Bal i teatr zazbyt nam miasto przypomniały, a po prawdzie nie tegośmy szukali w Ojcowie. Nie przeto jednak umniejszyć chcemy zasługi nowego właściciela tych dóbr, hr. Przezdzieckiego, który z prawdziwie *ojcowską* troskliwością pomyślał o wygodzie i bezpieczeństwie podróżnych, zwidzających to miejsce.

Istniejący w bizkości zakład hydropatyczny p. Kowalskiego, wszelkiego rodzaju kąpiele i wody mineralne, a mianowicie i przedewszystkiém cudowne górskie powietrze, tak zdrowe, że w Ojcowie nigdy cholera nie zagościła, powinnyby tam na lato zwabiać cierpiących. Dobrze więc że tak oni, jak i ci którzy jedynie dla piękności widoków i pamiątek zapragną zwidzać to miejsce, znajdą wygodne pomieszczenie i zaopatrzenie we wszelkie potrzeby życia. Sztuka umiejętnie użyta nie szkodzi naturze, owszem uwydatnia nieraz jéj piękności, byleby był zmysł artystyczny, umiejący korzystać z pięknych położeń i nie psujący w niczém harmonii przyrody. A tego zdaje się tam nie zbraknie. Przynajmniéj zwidzając sumiennie wszystkie te zakątki, wasz sprawozdawca przekonał się o tém dowodnie, a sumienność do tego doprowadził stopnia, że zbadał nawet dno Prądnika wezbranego dészczami, chociaż to nietyle jego jest zasługą, ile ślizgiéj kładki przez którą droga prowadziła.

Nawet książka Indykowéj, w któréj od dawnego czasu zapisują swe nazwiska podróżni, nie uszła mojéj baczności. Książek tych aż dwie obecnie; w wielkiém są one poszanowaniu i zyskają nową oprawę, a nazwisk w nich, opisów, rozczulań się i wierszy niezliczona moc. Niektóre bardzo piękne, ale prawda każe wyznać, że niewiele takich. Istotnie, przed przejrzeniem téj książki anim się domyślał, że tyle jest poetów i poetek w Polsce. Możnaby ich wysyłać na zaludnienie opustoszonych pod tym względem kolonij zaeuropejskich. Może téż i dlatego nigdy za pamięci ludzkiéj żadnego wróbla nie było w Ojcowie, bo wszak wiadomo że wróbel, to najniepoetyczniejszy ptak i ze słowikami się bije.

Z dawnego zamku została się wieża kaźmirowska, a wyborny to magnes, który ściągnie do siebie nowe zabudowania; przynajmniéj, jak słyszeliśmy, nowy zamek ma wkrótce stanąć staraniem hr. Przezdzieckiego, a trudno nań piękniejsze wynaleść miejsce.

O loteryi w Pieskowéj skale niewiele mam do powiedzenia. Odbyła się ona jak wszystkie tego rodzaju zabawy, w odbudowanéj na nowo części zamku, który, jak wiadomo, przed kilką laty cały prawie uległ klęsce pożaru. Przyznam się szczerze iż owe sprzęciki i bagatelki, rozłożone kramarsko w zamku Pieskowéj skały, nie zupełnie przyjemne uczyniły na wielu wrażenie. Mówiono tu nam i głosiły nawet dzienniki, że zamek cały odbudował się już znacznie i daléj odbudowywa, według dawnego wzoru; my jednak widzieliśmy tylko cząsteczkę mieszkalną, reszta stoi w ruinach. W tych zwaliskach duch Szafrańców szczerą świadczył nam gościnność, jakby chciał dać zapomnieć zimną, angielską obyczajność, która wraz z fantami mieszkalną część zamku zaległa.

Do Ojcowa ma wkrótce poprowadzić droga zwirowa. Zgoda na to, bo ona wielce ułatwi kmmunikacye; ale gdyby to od nas zależało, za nic w świecie nie pozwolilibyśmy żeby przez samę dolinę ojcowską droga zwirowa prowadziła. Na prawdę, ta cywilizacya zabiłaby nam Ojców, zepsuła wszystkie widok, i za wielkie szczęście uważamy, że głos świstawki kolei żelaznéj nie dochodzi tam. Więc dobrém jest ułatwienie kommunikacyi, byleby ona aż do saméj doliny nie rozciągała się. Za nic w świecie niechciałbym udawać się do groty Łokietka po chodnikach kamiennych.

Po drodze zwidzaliśmy Olkusz, ów kalifornijski nasz Olkusz, niejednym rymem unieśmiertelniony. I na widok tych kopalni leżących odłogiem, przypomniała nam się bajka Lafontena *o skarbie ukrytym.*

Donoszą nam z prowincyi, że na liczném zebraniu u hrabiego St. grano komedyjkę *Po naszemu*, drukowaną w Tygodniku Illustrowanym. Komedyjka ta miała pójść wybornie: mianowicie role majora i Alfreda dobrze były obsadzone. Rolę Dylczewskiéj grała Angielka, doskonale władająca naszym językiem, co jest rzadkością wielką u jéj współrodaczek; tém bardziéj zaś było to uderzające, że rola Dylczewskiéj, jako wielce mównéj kobiéty, wymaga płynności i gładkości w wysłowieniu. Na zabawie tańcującéj, jaka tamże miała miejsce, wystąpiło 7 dam, z których każda przedstawiała kwiat jakiś. Wzory do kostiumów wzięto ze znanego francuzkiego dziełka *Les fleurs animées.* Jest to może najpiękniejszy rodzaj kostiumów jaki wynaleźć można, a więcéj stroił powabne twarze dam tamecznych, niźli najdroższe ubrania z pereł i dyamentów. Smak dobry zawsze piérwszeństwo przed przepychem trzyma, a damy nasze tym właśnie mogą i powinny się odznaczać.

Przypominają sobie może czytelnicy, żeśmy kiedyś wzmiankowali o biédakach, którzy za granicą czyszczą przechodniom obuwie z błota lub kurzu i tym sposobem; bez uciekania się do żebraniny, zarabiają sobie na życie. Otóż myśl rzucona przez nas znalazła już w Warszawie zastosowanie, i wiedzieliśmy sami na jednéj z główniejszych ulic beznogiego kalékę, który tą wysługą starał się na chléb zapracować. Dotądidzie mu nieźle i ma siaki taki zarobek, co powinnoby zachęcić innych do naśladowania jego przykładu.

Bo téż ileż to razy zdarza się spotkać po ulicach ludzi młodych i zdrowych jeszcze, którzy się nie wstydzą wyciągać ręki po jałmużnę. Matki porzucają dzieci u drzwi zakładów dobroczynnych i zamożniejszych osób, a opuszczając je nakazują im krzyczéć i wyrzekać, żeby wzbudzić litość. Niedawno zdarzyło nam się spotkać taką dziewczynkę; na szczęście była

już ona o tyle rozwiniętą umysłowo, że doprowadziła nas sama do mieszkania swoich rodziców, miała bowiem i ojca i matkę. A ci ludzie nie byli wcale w takiéj nędzy, żeby nie miało im starczyć na wyżywienie dziecka. Smutny to przykład, ale smutniejszy daleko kiedy się córka własnéj matki wypiera; a doniesiono nam świéżo o wypadku podobnego rodzaju. Pewna pani, i to bardzo majętna, dozwala matce swojéj żebrać, zaledwie sama lichym datkiem wspomagając ją czasem. Ta matka w bardzo biédném jest położeniu, bo niektórzy z tych co udzielali jéj dotychczas jałmużnę zwiedzieli się o tajemnicy i oświadczyli jéj, że nie powinna zabierać innym grosza jałmużniczego, mając zamożną córkę; córka zaś o niczém słyszéć nie chce. Jeżeli kogo szczęśliwym przypadkiem Bóg obdarzył dostatkami, to obdarowany winien szanować tę łaskę i pamiętać, że w życiu ludzkiém istnieje ciężkie prawo odwetu i że dzieci nasze własne gotowe postąpić z nami w ten sposób, w jaki my z rodzicami naszemi postępowaliśmy. Samemu zdarzyło mi się już widzieć podobne dowody sprawiedliwości Bożéj.

W Warszawie również tuła się tu i owdzie staruszka, licząca już, jak sama twierdzi, przeszło lat sto. I ta także ma podobno bogatych krewnych, ale nie chcą o niéj wiedzieć, ponieważ straciła majątek. Wymienia ona ich nazwiska, a wątpimy ażeby kobiéta w tak sędziwym wieku chciała się udawać do kłamstwa.

Picie wód rozpoczęło się tak w ogrodzie Krasińskich jak iw Saskim. Szczególniéj w tym ostatnim co rano mnóstwo przechadza się osób. Nie wszyscy jednak są zwolennikami wód mineralnych; sławna tam ze swéj czystości woda studzienna większy jeszcze aniżeli tamte ma odbyt. Są nawet tacy, którzy zimą i latem odbywają te wodne przechadzki: śnieg i lód ich nie zastrasza. Obecnie po naprawieniu studni ruch się jeszcze zwiększył, a idzie to na korzyść sierot, które tam trudnią się posługiwaniem publiczności. Są jednak niektórzy, co i grosza nie dadzą, i na chłopców się nakrzyczą w dodatku; widzieliśmy nawet jak ktoś, spotkawszy się z takim gniewliwym jegomością, ofiarował dwa złote do puszki, mówiąc głośno, że je przeznacza na kredyt nieograniczony dla tego pana co płacić nie chce. Wszakże nikt datku nie wymaga, dobroczynności się nie nakazuje; niechaj więc przynajmniéj ci co grosza skąpią ubogim, nie łają ich jeszcze za bezpłatną posługę.

UBIÓR NIEWIASTY POLSKIÉJ W WIEKU XVII.
Rysował J. Lewicki, rytował Drążkiewicz w Warszawie.

UBIÓR NIEWIASTY POLSKIÉJ
w r. 1630.

Drzeworyt który podajemy przedstawia nam ubiór niewiasty polskiéj z czasów Zygmunta III. Okazałość stroju, już jesiennego, pokazuje w rycinie wyższego rodu i dostojności niewiastę, wchodzącą w przedsionek starożytnego zamku. Na głowie czapka kroju polskiego, z sobolowém futrem, z pod niéj wysuwa się rodzaj kaptura materyalnego, osłaniający tył głowy, bo czapka raczéj do stroju niż dla ciepła spoczywa na samym wiérzchołku czoła, które przepasuje sznurek złoty, z drogocenną perłą w środku. Futro wysoko osłania szyję, spięte klamrą z kosztownych kamieni; z pod futra widać krezę haftowaną. Rękawy bufiaste, ręce ukryte w futrzanym rękawku. Suknia spodnia atłasowa, oblamowana w koło centkowaném futrem, po wiérzchu zaś inna z ciężkiéj materyi, ogoniasta, z podwiniętemi połami przedniemi, przepiętemi podwójnie złocistemi sznurami. Suknia długa, zaledwie dozwala dojrzéć stopki małéj w kształtny bócik ujętéj, jak wówczas noszono. Do takich ogoniastych sukien używano w czasie większych uroczystości karlików, albo małych a zręcznych paziów, którzy koniec bogatéj szaty unosili.

OBRAZY WIELKOPOLSKIE.

Przez **F. S.**

III.

PORZECZANIE.

Wielkopolska rzeka Warta, któréj modrawa wstęga wodna, niedaleko dzielnicy Jagiellonów z pośród bagnistych łąk wysnuta, w coraz szerszą, w coraz

WESELE WIELKOPOLSKIE.
Skomponował i rysował Pillati, rytował Styfi w Warszawie.

BIELANY POD WARSZAWĄ PODCZAS ZIELONYCH ŚWIĄTEK.

Rysował z natury Polkowski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.

dłuższą rozwija się szarfę, a obcierając stopy Jasnéj Góry, namaszczona jéj świętościami, rozciąga się wolno i spokojnie przez kraj dawnych Lechitów, przez gród Przemysława i daléj, dopóki swego końca nie schowa w obszernéj szacie poważnéj Odry, dzieląc Wielkopolskę na dwie części: północną i południową. Na jéj tle błękitném przesuwają się podłużne berlinki, wyładowane polską pszenicą, szerokie tratwy, obciążone resztkami wiekopomnych dębów, wysmukłych sosen, niebotycznych świerków, dążąc ku zachodowi. Niedostępne nad nią bagna zamieniły się w zielone i kwieciste łąki, urodzajne niwy, mlékodajne pastwiska. Jéj brzegi coraz daléj, coraz głębiéj podrywane, ujęte zostały przez rzucone faszyny w karby posłuszeństwa. Jéj wzdęte fale, kiedy na wiosnę, jakby łzami wezbrane, rozlewały się po wszystkich nizinach nadbrzeżnych, niszcząc straszną powodzią chaty, drzewa i zasiewy, ograniczone jednym zakresem wązkiego koryta, płyną teraz spokojnie, nie szkodząc nikomu. Wiejące i ruchome piaski po wzgórzystych miejscach znikły pod kłosistém zbożem i zieloną paszą. Nietykalne wnętrza ziemi rozpruto dla węgla, gipsu i innych rzeczy kopalnych. Okolice zasłonione lasami otwarły się oku; bo niszcząca ręka czasu, potrzeb i spekulacyi nie szczędzi tych uroczych zabytków naszéj ziemi; bo nad brzegami pięknéj Warty osiadło po części przemyślne plemię potomków Arminiusza, chciwe pracy i zarobku. Sprostowały się drogi, wyrównały gościńce, obliczono czas jazdy na minuty, powiększonc zyski przez maszyny: zgoła gdzie spojrzsz po obszarach Wielkopolski, znajdziesz wielką odmianę, wielki postęp na zewnątrz od lat kilkunastu, wielką różnicę pracy, zwyczajów i ducha narodu.

Po lewéj stronie Warty, w południowéj części Wielkopolski, zacząwszy od brzegów Prosny, Lutyni i daléj ku zachodowi, mieszkają tak zwani Porzeczanie. Lud to wesoły i zwinny, lubiący zabawy i tańce. Rozproszony po wzgórzach i dolinach, po lasach i ponad rzeczkami, zgromadza się chętnie do wspólnéj uciechy po wiejskich karczmach i miejskich szynkowniach. Porzeczanin pracuje w polu i na wodzie do upadłego, śpiewa sobie bez przestanku, tańczy w karczmach i na ucztach weselnych niezmordowanie, płacze i śmieje się razem. Pobożność tego ludu nietyle podkopana, ubiór i obyczaje niewiele zmienione; język tylko traci swą rodzimą barwę przez wpływy obcych żywiołów. Nietrudno usłyszéć wyrazy germańskie: vaterku, muterku, sztyble i myca, zwłaszcza od młodych wojskowych, którzy powróciwszy w domowe progi, szczycą się swoją świadomością obcego kraju i języka, a lud prosty podziwia tę wielką mądrość młodszego pokolenia, lub żegna się na odpędzenie pokusy, słysząc niezrozumiałe wyrazy. Po latach znowu wspólnego z rodakami pożycia zapomina landwerzysta tych zaczerpniętych w obczyznie, nieswojskich wiadomości i przemawia językiem, którym go matka uczyła pacierza i piérwszych zasad wiary, rumieniąc się nieraz na wspomnienie przeszłości, a powołany na odbycie ćwiczeń wojskowych, z trudnością przypomina sobie nazwę żołnierskich przyborów, przekręcając najfałszywiéj wyrazy niemieckie, wymawiając n. p. *ladaco* zamiast *lederceig*. Za to w pielgrzymkach do miejsc świętych, w niesieniu wzajemnéj pomocy, w wspólnéj potrzebie Porzeczanin nie da się drugim wyprzedzić. Lud ten, po części miernego wzrostu, zdaje się być hardym i nieugiętym, bo zwykle dla stojących kołnierzów u białych wełnianych sukien, nosi brody do góry, a jego spojrzenie niebardzo przyjemne i łagodne; ale kto zajrzy w głąb' jego serca, kto posłyszy tę na pół wesołą, na pół rzewną piosenkę, nuconą przy pracy i zabawie, i wyraz: „przyjacielu!“ do każdego powtarzany, ten stanie się prawdziwym przyjacielem Porzeczanina, uwierzy jego szczerocie, doświadczy gościnności i pokocha go jak brata.

A gdyś się dostał za progi chaty, wszystko masz na stole: chléb, masło, sér, wódkę, kiełbasy, kluski, mięsiwa i t. p., bo szczery i gościnny Porzeczanin wszystkiém czém chata bogata, częstuje gościa przychodnia. Nie taki zamożny jak średzkich okolic mieszkaniec lub Kujawiak, dlatego téż nie taki dumny, owszém przystępny dla każdego. Pokorny i uniżony dla plebana, z szacunkiem dla przełożonych i starszych, grzeczny dla obcego. Rzadko zalega w daninach, podatkach i pracy, jeśli go ostateczna nędza i upadek nie znagli do tego. Ale wtenczas jeszcze biegnie do rządu, księdza lub dziedzica i błaga ze łzami o zwłokę i cierpliwość.

Romantyczne okolice Porzecza, ubarwione lasami, poprzerzynane rzeczkami i strumykami, pełne pagórków, dolin i łąk zielonych, wpłynęły na czułe serce tego ludu, który zajęty pracą i modlitwą, nie szuka wielkich dla siebie korzyści i nie leni się w niesieniu pomocy. Zwyczaje Porzeczan zachowane w całéj prostocie starodawnéj, wiara w zabobony i gusła przekazywana w podaniach, zbieranie się ludu do wspólnych obchodów uroczystych sięgających czasów pogańskich, są jawnym dowodem, iż postęp i oświata nie potrafiły jeszcze zatrzéć tego piętna pamiątek narodowych, nie zdołały mu wydrzéć poezyi i oziębić ducha, choć skalały w części jego język i zmieniły barwę zewnętrzną.

W wędrówkach moich po Wielkopolsce i Kujawach przybyłem w strony gostyńskie, nad rzeczkę Obrę, która przerzynając południową część Wielkopolski, wpada do Warty niedaleko jéj ujścia. Cudowna i malownicza okolica Gostynia, ustrojona ślicznym krajobrazem, sławna klasztorem filipinów, pamiętna życiem złotego wieku pisarza i wielą zdarzeniami historycznemi, ujęła mnie swym wdziękiem i zatrzymała dłużéj nad czas oznaczony. Ależ bo jaka roskosz przejmuje duszę, patrząc na te cuda sztuki i natury! Tu starożytny Gostyń osiadł w dolinie z wyniosłą farą gotyckiéj struktury, jakby się schował przed burzami świata, a nad nim czuwa wzniesiony na górze z obszerną kopułą klasztor filipinów, z cudownym obrazem Maryi-Dziewicy. Daléj za doliną wystrzela ku niebu widna zdaleka wysmukła wieżyca boreckiéj świątyni; a nieco bliżéj po lewéj stronie rumieni się kościołek wsi Strzelce, pamiętnéj grobem Zygmuntowskiego poety; w koło zaś miasta po wzgórzach czernią się chaty wieśniacze i bielą dwory, pałace. A wśród zielonych łąk i smugów doliny wije się rzeczka Obra w róznych zagięciach i splotach, jak ślubna wstęga dziewicy. Nic zatém dziwnego, że lud tych uroczych okolic przejął się duchem wiary i poezyi, pokochał swojskość, przywiązał się do miejsca; że po pagórkach i dolinach dźwięczą jego pieśni, zmięszane harmonijnie ze śpiewem słowika i skowronka, z szumem strumyków, z szelestem liści; że wśród leśnych zarośli spotyka bogunki, w wodnych topielach widzi kąpiące się rusałki i różne bóstwa na polach; że wreszcie nasz ziomek, umiłowawszy te wszystkie wdzięki przyrody, pod lipami Smogorzewa nucił o swoich flisakach piękne sielanki.

Był dzień niedzielny; dzwon gostyński rozległ się po rosie głosem z serca dobytym, a lud pobożny na to wezwanie spieszył oddać hołd Najwyższemu. Obcy wśród swoich, stanąłem i ja pod murami świątyni i zatopiony w lubém marzeniu, czytałem z cegieł pomroką czasu omszałych, z pomników w murze wykutych dzieje przeszłości, wznosząc się duchem ku górze, jak twórca tego kościoła wznosił się myślą budowli ku Stwórcy swojemu. Chciwy nowin i podań ludu, zbliżyłem się do starca siedzącego na kamieniu, a pochwaliwszy pana Boga, zapytałem, czy już po kazaniu?

— Dyć jeszcze nie, paniczu, bo dopiéro rożaniec, a po rożańcu processya, a po processyi kazanie, a po kazaniu summa.

— Ilu macie księży przy waszym kościele?

— Dwojga, młodziuchny ksiądz wikary, co to kieby lalka, i stary proboszcz, nie przymierzając kieby ja w tym wieku, bośma się oba chowali we wsi Ostrowie, co to ją pan Bóg ukarał.

— Przyjacielu, a za co tę wieś Bóg ukarał?

— Oho! jak widzę, panicz nie z naszéj kniei, kiedy tego nie wié.

I opowiedział mi powieść ciekawą o Ostrowie, dotyczącą zarazem fary gostyńskiéj.

Bardzo dawno już temu, jak tam przed miastem, gdzie dziś jeszcze okop stoi, wznosił się zamek warowny, a w nim mieszkali bracia Aryanie, bluźniący Bogu i krzywdzący ludzi. Razu jednego śni się starszemu bratu, że jego synek jedynak, kochany od ojca i stryja, w dniu swego imienia spalony będzie piorunem. Uląkł się Aryanin snu tak złowieszczbnego i kazał wykuć piwnicę z grubego żelaza i stali, chcąc tam syna zachować. Nadszedł dzień zapowiedziany; ale młodzieniec, zamiast wnijść do piwnicy, uciekł na pole pod błękitne niebo, i tam upadłszy na kolana, modlił się gorąco do Boga. Nagle chmura nadciąga, wypadają z okropnym trzaskiem pioruny i rozbijają w kawałki piwnicę. Nawrócony Aryanin przyjmuje w swe objęcia syna jedynaka i na miejscu jego modlitwy i ocalenia buduje kościół. Dnia jednego przychodzi starzec do fundatora, niosąc mu w ofierze kilka denarów na przyspieszenie budowy świątyni, która dla braku kamieni w gostyńskiéj okolicy długo się ciągnąć musiała. Ale fundator odrzekł łagodnie, iż ma pieniędzy dostatkiem, tylko kamieni mu trzeba. Poszedł starzec po kamienie, a chodząc po okolicy zbierał takowe do torby i donosił do budowy. Raz przybył do Ostrowa, z Gostyniem graniczącéj wioski, a widząc pod płotem ułożone stosy, udał się z prośbą do dziedzica, aby mu kilka kamieni zabrać pozwolił na kościół. Dziedzic nieludzki i skąpy sfukał żebraka i wypchnął za drzwi. Ale jakież dziwy! kamienie pod płotem leżące ruszyły się same i pokulały za odchodzącym staruszkiem. Pan ów, rozgniewany, kazał uchwycić dziada i kijmi go wychłostać, a znieważony starzec przeklął tę wioskę, w któréj po dziś dzień kamieni jakby kto nasiał. Łamią się radła i pługi, zboże się nie rodzi i ziemia leżéć musi odłogiem.

Wtém przed miastem pada kilka wystrzałów i głośne „hura“ rozlega się w powietrzu. Zdziwiony pytam się starca, coby to znaczyć miało, zwłaszcza że i muzyka i śpiewy coraz bliżéj i wydatniéj odbijały się po murach świątyni, a lud ciekawy wysypywał się na ulicę i przed bramę cmentarza, patrząc w uśmiechach radośnych ku téj stronie, zkąd odgłos dochodził.

— Czy to panicz nie zna wesela na Porzeczu? A toć to wej wesele Marcina Chmiela z Grabonoga, z Jagusią Kostką, prawnuczką sławnego wojaka, co mu kula w wojnie ze Szwedem urwała nogę, a ta mu w pielgrzymce do Jasnéj Góry odrosła napowrót.

Ledwie to wyrzekł, przypadło przed bramę w galopie na koniach cztérech młodzianów w siwych czapkach, z świetnemi wieńcami, a na czele drużba weselny, z białym ręcznikiem przez ramię, strojny wstęgami. Zawinęli w koło, jakby chcieli miejsce zrobić orszakowi weselnemu, a wtém nadjechał i cały orszak sześcią wozami. Na piérwszym wozie cztérokonnym siedzieli na przedzie duda i skrzypek, za niemi panna młoda i druchny, ubarwione rozmarynem i wstęgami, wiewając białemi chustkami; a na innych wozach siedzieli poważni ojcowie i matki, krewni i przyjaciele. Młodzieńcy zeskoczyli z koni i przypadli do woza, pomagając dziewojom wysiadać z niego, a jeden chłopak dorodny, zwiesiwszy czapkę na bakier, zaśpiewał głośno przed grajkiem:

Porzeczanka dobra żona,
Czy bogata, czy to biédna,
Kocha męża, dom i dzieci,
Nie zalotna, nie wybrédna.

Nagle uderzono w dzwony, rozległa się pieśń pokory: „Do ciebie Panie,“ ukazały się chorągwie i wypłynął lud z świątyni. Cały orszak weselny zmięszał się z tłumem pobożnych owieczek i podążył za processyą.

Takim jest lud Porzecza: często ponury i cichy, to znów wesoły do zbytku, pracowity i gościnny, przykładny i pobożny. Płacze i śpiéwa, bawi się i modli, kocha swą ziemię, przywiązany do miejsc rodzinnych, a życzliwy dla obcych.

BIELANY POD WARSZAWĄ.

Dwa starożytne miasta, Kraków i Warszawa, w pobliżu murów swoich mają swoje Bielany, z kościołami i klasztorami księży kamedułów. I krakowskie i warszawskie leżą w pobliżu jednéj rzeki Wisły, ale jakże różne pod względem piękności okolic i widoków!

Bielany krakowskie, na wyniosłém wzgórzu, dają widok cudny na daleki krajobraz. Ze szczytu oglądasz ów gród stary, najeżony wieżycami kościołów i historycznemi mogiłami; za białemi wodami Wisły wychylają się piérwsze garby Karpat, piętrzą się coraz wyżéj, a nad niemi wyskakują wierzchołki gór jeszcze wyższych, długo na wiosnę pokrytych białemi czepcami śniegu. Klasztor otacza cienisty las, u stóp którego rozścielają się żyzne czarnoziemu łany.

Warszawskie Bielany, o milę od Warszawy, leżą na jednéj płaszczyźnie z głównem miastem królestwa, bliżéj Wisły, a z przeciwnego jéj brzegu dopiéro dostrzegasz nieco podobieństwa do krakowskich, bo widomie rysuje się i uwydatnia wyniosła góra, na któréj ko-

ściół z klasztorem kamedułów wychyla z pośród cienia drzew białe swe mury.

Założenie obu klasztorów dzieli zaledwie lat kilkadziesiąt: na skalistéj górze pod Krakowem, powstał w czasach Zygmunta III; na piaszczystém wzgórzu pod Warszawą, za panowania Władysława IV, syna jego.

Król ten, dla spełnienia uczynionych Bogu ślubów i na podziękowanie za odniesione zwycięztwa, funduje tu kościół, a w pobliżu stawia dla siebie domek, gdzie w wolnéj chwili oddaje się modlitwie i pobożnemu rozmyślaniu. Wkrótce za przykładem monarchy osoby możniejsze do 20 na Bielanach założyły podobnych domków. Jan Kaźmirz dokończa budowy klasztoru 1667 i konstytucyą na sejmie warszawskim tegoż roku zatwierdza ojcom kamedułom wszystkie przywileje, odgraniczenie gruntów od starostwa warszawskiego i dochód z przewozu na Wiśle pod wsią Żeraniem. (Volumina Legum T. IV p. 967). Król Michał Korybut lubił to ustronie i w niém swe serce złożyć polecił.

Bielany tak przyrosły do serca Warszawian, jak i Czerniaków, z tą różnicą, że odpust u kamedułów trwa tylko dni kilka, zacząwszy od Zielonych Świątek, gdy w Czerniakowie blizko cztéry tygodnie. Skromniejszy jest ten ostatni, bo nie gromadzi do razu takiéj massy gości wszystkich warstw społeczności naszéj, jak drugi dzień Zielonych Świątek na Bielany.

Wyższy ton, to jest bogatsze rodziny panów lub przemysłowców, zostawia właściwym mieszkańcom Warszawy, rzemieślnikom, niańkom i mamkom dzieci swoich, skromny Czerniaków: dla siebie zachowuje Bielany, aby tam z całym przepychem wystąpić. Na drodze do Czerniakowa tłumy tylko piesze ochoczo spieszące ujrzysz, rzadko pojazd lub dorożkę warszawską. Świat wyższy niéma po co spieszyć do Czerniakowa, bo któż tu będzie podziwiał świetność strojów, wystawność pojazdów i koni?

Od kiedy te przejażdżki na Bielany weszły u nas w modę, z pewnością oznaczyć trudno. Był zwyczaj dawny, że w poniedziałek Zielonych Świątek mieszczanie Warszawy przepływali do wsi Golędzinowa, (dziś na Pradze ulica Golędzinowska) na drugą stronę Wisły, gdzie odbywało się wesele ubogiéj lecz cnotliwéj córki jednego z mieszkańców Starego-miasta. Był to obchód całe miasto poruszający. Promy i łodzie z masztami, strojnemi to w zielone gałązki brzeziny, to mnóstwem wstąg różnobarwnych, przewoziły tłumy ochoczych na tę uroczystość, poprzedzone łodziami, na których brzmiały kapele. Po ukończonym obrzędzie, wójt staromiejski zbiérał posag dla nowozaślubionéj, i ten bywał nieraz znaczny.

Za smutnych czasów króla Jana Kaźmirza, jak pisze Stanisław z Łazów Duńczewski, sławny wydawca kalendarzów, kiedy Szwedzi srodze gospodarzyli po tamtéj stronie Wisły, Warszawianie już nie popłynęli do Golędzinowa, ale obrzędu dawnego w lasku bielańskim dopełnili. Nie było wtedy zwykłéj radości i wesela, wszystkich oblicza posmutniały, bo coraz boleśniejsze wieści nadbiegały ze wszystkich stron kraju; a gdy kapela przy tym obrzędzie zabrzmiała, umilkła zaraz na okrzyk zgrozy i trwogi, gdy przy zachodzie słońca ujrzano po drugiéj stronie Wisły płonące strasznym pożarem okoliczne wioski i domy, dosłyszano wrzawę wojenną i strzały ręcznéj broni!

Łukasz Gołębiowski wyprowadza ztąd domysł, że zapewne od téj pory w tym dniu zaczęto odwidzać Bielany, nie dla samego już tylko nabożeństwa. Przecież stare podania, które słyszałem od sędziwych mieszkańców Starego-miasta, co innego mówią. Za dawnych czasów (tak brzmi tradycya) las bielański był wielką puszczą i pochłaniał w sobie całą okolicę Warszawy, aż do Willanowa, czyli drugiego wybrzeża Wisły. W kniei téj ogromnéj, gdzie tury i żubry bujały stadami, podobnie jak wilki, niedźwiedzie i rysie, gdzie bobry miały liczne swoje legowiska, udzielni książęta mazowieccy polowali często. Jeden z nich, imieniem Kaźmirz, zapędzony za zwierzem, zabłąkał się i nie mógł trafić do swego orszaku. Wielce strudzony, pod wysoką górą napotkał zdrojowisko i zaspokoił piekące pragnienie, a wdarłszy się na szczyt góry, usnął pod starą sosną.

Jak długo spał, nie pamiętał, ale gdy się obudził, otrzeźwiony promieniem słońca, usłyszał najprzód brzęk rojów pszczół dzikich, co liczne barcie miały w pniach odwiecznych sosen, a niedługo potém odbiło leśne echo po rosie kroplistéj pieśń pobożną. Zerwał się na nogi, i niedaleko ujrzał małą kapliczkę drewnianą z modrzewia, a na jéj progu modlącego się pustelnika, co w téj puszczy oddawna zamieszkał. Pomodlił się z nim razem, za jego przewodem wydostał się na drogę i wrócił szczęśliwie do Warszawy, gdzie go dwór niespokojnie oczekiwał. Książę opowiedział rzecz całą. Zaraz nazajutrz z dworem ruszył napowrót do puszczy, trafił łatwo do kaplicy, znalazł pustelnika, i hojnie go opatrzywszy, kazał naprawić kapliczkę już chylącą się do upadku. I odtąd to Warszawianie zaczęli od piérwszych dni wiosny do jesieni nawidzać Bielany, późniéj zaś te pielgrzymki pobożne rozpoczynali od Zielonych Świątek. Zwyczaj ten odwieczny miał spowodować króla Władysława IV, że tu wybrał miejsce na kościół i klasztor księży kamedułów. Na tém kończy się miejscowe podanie.

Lasy bielański i marymoncki, połączone z sobą, stanowiły kiedyś dobrą knieję, pełną grubego zwierza, i w niéj często polować lubił król Jan Sobieski. W roku 1683, gdy w pałacyku marymonckim, dotąd istniejącym, zmęczony łowami spoczywał, poseł cesarza austryackiego upadł przed nim na kolana, błagając bohatera, ażeby od zguby ocalił Wiedeń, a obecny nuncyusz papiezki dodał, żeby ratował chrześciaństwo. Wtedy król, wzruszony do głębi serca, dał słowo zezwalające.

Królowie z domu saskiego, August II i syn jego August III, za bytności swojéj w Warszawie odwidzali Bielany w drugi dzień Zielonych Świątek. Ale głównie utrwalił ten zwyczaj w wyższém społeczeństwie naszém król Stanisław Poniatowski.

Monarcha ten, który, jak wiadomo, nadzwyczaj lubował się w naśladowaniu dworu i zwyczajów wersalskich, chcąc wytracić do szczętu grube sarmackie obyczaje, a ogładę i oświatę francuzką w całéj Polsce zaszczepić, starał się uświetnić tę przejażdżkę, bo to przypominało *Longchamp* paryzki. Występował więc okazale i uroczyście na ten dzień w przejeździe do Bielan, a panie i panowie polscy przesadzali się w zbytkowych strojach, pojazdach i uprzęży. Ale wtedy tylko damy jechały w pojazdach; jak przed karetą królewską, tak przed ich końmi biegli bogato przystrojeni laufry, z pejczami w ręku, w czapkach zdobnych strusiemi piórami; mężczyźni zaś wszyscy towarzyszyli konno, wyjąwszy sędziwych panów i senatorów. Rozmaitość ubiorów to cudzoziemskich, to polskich, mundury wojskowe i przepyszne stroje pań, służba dworska, ogromnego wzrostu hajduki i pajuki, straż zbrojna otaczająca króla, wśród tłumu ludu, wszystko to tworzyło obraz godny pędzla malarza.

Stanisław August, po przyjeździe na Bielany, wchodził najprzód do kościoła, po wysłuchaniu nabożeństwa nieszpornego odwidzał domki pustelniczych zakonników, a następnie, używając przechadzki, przypatrywał się rozmaitym zabawom ludu.

Po podziale kraju, kiedy Warszawa opustoszała, a wspaniałe w niéj pałace poszły w ruinę, za czasów rządu pruskiego, świetność Bielan upadła. Lud małemi tylko gromadkami szedł na nabożeństwo. Odżyły one dopiéro po utworzeniu księztwa warszawskiego. R. 1810 przypomniał dawne Bielany. Fryderyk August król saski, książę warszawski, zwidził je w czasie Zielonych Świątek; świetny mu wtedy orszak towarzyszył, a lud tysiącami wybiegł, witając serdecznemi okrzykami ulubionego monarchę. I w późniejszych także czasach przejażdżki do Bielan odznaczały się blaskiem i przepychem; liczono nieraz pojazdów do 4000, konnych jeźdźców do tysiąca, a pieszego ludu do 70,000. Od lat trzydziestu, lubo zwyczaj przetrwał, przejażdżki i przechadzki do Bielan zaledwo przecie przypominają dawną świetność i wesołą ochotę ludu.

Bo jakaż wtedy bywała ochota, co za gwar i ścisk to na drodze głównéj, to na ścieżkach i w samym lesie!

Kilkadziesiąt szałasów i namiotów zalegało plac przed kościołem, a wszystkie przepełniali goście z Warszawy. Nie mówimy tu o poczciwych naszych chłopkach, bo ci pod murem kościelnym na uboczy, zebrani w oddzielnéj drużynie, wyszukawszy zielonéj darni, wesoło się bawili, skacząc po nucie wiejskiego skrzypaka.

Pamiętamy dudarzy karpackich, co niemałe grono zwabiali do siebie, siwego lirnika, *niebieskim płaszczem* zwanego, co przygrywając usiadłszy pod drzewem, śpiewał stare dumy o królu Sobieskim i o najezdniczych Szwedach, szturmujących do cudownego klasztoru częstochowskiego. Banda cyganów z uczonym niedźwiedziem zbierała w koło siebie ciekawy lud i dziatwę, a w kilkudziesięciu szałasach grzmiała potężnie muzyka, tłumiąc się wzajemnie i bijąc o mury samotnego klasztoru ojców kamedułów.

Nigdzie większéj rozmaitości nie widziałeś jak na Bielanach w owych świetnych czasach; po ubitych ścieżkach w lesie przepych i zbytek panował; stroje kosztowne i bogate zwracały oczy; w szałasach na piasku pijana wrzała ochota, a wodosobnieniu, przy murze ogrodowym, wieśniacy i wieśniaczki z blizkich okolic Bielan, z piosnką wesołą choć krzykliwą, któréj serdecznie wtórował grajek, objawiali swą radość niekłamaną w pląsach i tańcu.

Lud warszawski rozpoczyna pielgrzymkę na Bielany od niedzieli rano, to jest od piérwszego święta; dlatego kramarze i przekupnie wcześnie przygotowują się w szałasach i pod namiotami na przyjęcie licznych gości.

Dawniéj w dnie tylko Zielonych Świątek przystęp do kościoła bywał i kobiétom dozwolony, gdy w innym czasie modliły się one tylko w kruchcie klasztornéj. Z czasem zwolniała ta surowość kamedulska.

Przechowały się dotąd i ta sosna, i ten sam dąb ulubiony, pod któremi chwile wolne od zatrudnień urzędowych, w dnie pogodne do późnéj jesieni, przepędzał Stanisław Staszic, czytując książki i kreśląc w nich notatki ołówkiem.

Panowała tu zwykle cisza uroczysta; po gwarze bowiem Zielonych Świątek, podczas których cała niemal ludność Warszawy przepełniała i las i kościół, rzadki gość odwidzał tę odległą okolicę Warszawy.

Miał Staszic widok piękny i otwarty na Wisłę i dalekie jéj okolice; słuchał szumu tych starych sosen i starszych dębów, do którego z rana i nad wieczorem łączył się głos dzwonu z klasztoru kamedułów; słuchał z upojeniem to gwaru ptastwa, to wesołego okrzyku i pieśni krakowskich flisaków płynących po rzece. Ukochał téż tę ustroń i polecił w testamencie, ażeby zwłoki jego pochowano przy tutejszym kościele. I spełniono ostatnią wolę wielkiego męża. Zwłoki jego, złożone w prostéj drewnianéj trumnie, przeniesione na ramionach czczącéj zasługi Staszica młodzieży, spoczęły w ziemnéj mogile przy lewéj ścianie kościoła bielańskiego.

Na nizkiém podmurowaniu leży duży, prostokątny kamień, z tym napisem:

„*Stanisław Staszic. Ur. r. 1755 † 20 stycznia 1826.*“

Widziała Warszawa wiele wspaniałych i uroczystych pogrzebów, ale równie wielkiego w swojéj prostocie, nie oglądała nigdy. Dzień był pogodny, śnieg biały pokrywał ziemię, a lekki przymrozek orzeźwiał powietrze. Drogę do grobu milową napełniał tłum narodu, kilkadziesiąt tysięcy wynoszący. Próżny karawan postępował zwolna, a dostojnym zwłokom towarzyszyły chóry kapłanów. Piérwszy to raz tak liczne tłumy zaludnily las bielański, z opuszczoną głową, z załzawionemi oczyma, z cichém westchnieniem w zbolałéj piersi, a jęk tysiąców połączył się z żałobną pieśnią kapłanów, z ponurym szumem sosen okrytych kryształami śnieżnemi, gdy drewnianą trumnę ze zwłokami wielkiego męża spuszczono w łono ziemi, którą tak ukochał i dla któréj pracę całego życia swego poświęcił. *K. Wł. W.*

BROCHÓW.

Jeszcze za czasów Konrada I, księcia mazowieckiego, wieś pod Sochaczewem Brochów, czyli jak dyplomata piszą Brohovo, należała do klasztoru czerwińskiego, któremu Bolesław Kędzierzawy i Kaźmirz Sprawiedliwy nadawali przywileje. Poszedł za ich przykładem i Konrad. W r. 1222, znajdując się koło Brochowa w Trojanowie, gdzie zakładał kościół, nadawał w dobrach nowe wolności opatom czerwińskim, a między innemi stanowił, że ludzie brochowscy nie mają odtąd ulegać żadnym sądom wojewodzińskim lub innym jakimkolwiekbądź, ale mają być we wszystkiém wolni, jako byli poprzednio, *tempore Sironis et Oltonis*. Ten Siro, będzie to podobno najprędzéj Żyro, wojewoda mazowiecki, opiekun młodego syna Bolesława Kędzierzawego, Leszka, który kiedyś panował lat kilka na Mazowszu. Olto zaś był następcą w urzędowaniu Żyry, a jak drugi przywilej świadczy, i synem jego. Sprawy tylko o gwałtowną kradzież, z odbiciem drzwi lub kłódki *(causa de serae fractura)*

książę zostawił sobie do rozsądzania. Jednocześnie Konrad drugim przywilejem lepiéj objaśnił te wolności które nadawał. Poddani brochowscy nie mieli pracować dla zamku, a ze sprawami w których szło o więcéj jak 50 grzywien, powinni się byli zgłaszać do samego księcia. W r. 1254 Opizo legat apostolski, opat mezański, brał pod opiekę swoję owym przywilejem klasztor czerwiński i jego dobra, które szczegółowie wylicza i wspomina przy téj okoliczności o kaplicy w Brochowie (1). Kaplica ta rychło zmieniła się w kościół parafialny, który ufundowali sami książęta mazowieccy, jak niesie podanie.

Ta opieka książąt czuwa ciągle nad Brochowem, który zdaje się wcześnie wyszedł z rąk opatów czerwińskich. W r. 1356 albowiem jest w Brochowie proboszczem Mieczysław, kapelan księcia Ziemowita. Mieczysław skarży się przed panem swoim na to, że mu zajęto jakieś pole. Ziemowit wyrokiem swoim w styczniu przywraca mu to, co własnością kościoła było(2). Wtedy w Brochowie już byli dziedzicami przodkowie późniejszego domu Brochowskich; nawet ów Mieczysław pewno należał do tego domu, gdyż w dawnych czasach nierzadki to zwyczaj, że ktoś z rodziny dziedziców, wyświęciwszy się na księdza, szedł na proboszcza do wsi własnéj. Bądź co bądź, w lat dwieście po Konradzie Brochów znajdujemy jako dziedzictwo w rękach rodziny szlacheckiéj Prawdziców na Szczawinie. Była to rodzina mazowiecka, starożytna, dobrze w ojczyznie zasłużona, bo po krzesłach senatorskich zasiadała. Na ten domysł naprowadzają nas nietylko fakta, ale i podania rodzinne Brochowskich. W kościele albowiem do dziś dnia wisi na ścianie tablica z rodowodem Brochowskich, ponad portretami dawnych dziedziców wioski. Na niéj czytamy po łacinie: Parens Brochoviorum familiae Joannes Brochowski dictus Sowecz de domo Prawdzic, vir insignis et bellicosus apud Boleslaum ducem Masoviae bona ducalia Brochow et Sławencino titulo haereditario cum jure patronatus acquisivit, anno millesimo trecentesimo quarto. Więc Jan Sówka piérwszy otrzymał prawem dziedziczném Brochów. Sówka ten zostawił sześciu synów; trzech z nich: Stanisław, Dobiesław i Mikołaj, byli biskupami płockiemi. Inni trzej bracia byli Jędrzej podskarbi mazowiecki, Nasiegniew i Mścigniew; piérwszy osiadł na Brochowie, drugi na Szczawinie i Trąbkach, trzeci na Gulczewie i Sierpsku około r. 1374, jak świadczą przywileje. Oto rodowód wielkiéj rodziny mazowieckiéj.

Synowie Dadziboga czyli Bogdana, marszałka dworu u któregoś z mazowieckich książąt, a synowce Dobiesława wojewody rawskiego, Nasiegniew i Sieciech, dzielili się dobrami swemi po ojcu w Gostyniu przed księciem Ziemowitem w r. 1380. Nasiegniew wziął Szczawin nowy i z nim Brochów, od którego już wnukowie w pokoleniu syna jego Jędrzeja przybrali nazwisko Brochowskich. Miał Nasiegniew kilku innych synów, jakoto: Niewierzę skarbnika gostyńskiego, Dobiesława i Dadziboga. Jędrzej wziął Brochów i piérwszy przezwał się Brochowskim (1), ale obok niego mieli na Brochowie swoje części i dwaj inni bracia, Dadzibóg i Dobiesław. Dadzibóg poświęcił się stanowi duchownemu i został kantorem płockim, oprócz tego trzymał w ojczystéj wsi probostwo brochowskie. Mieniał się wtedy z bratem swoim Dobiesławem na pola w Brochowie i ugodę ich w tym celu zatwierdził w Warszawie książę Ziemowit w r. 1403. (2)

Z cztérech braci, o jednym tylko Dobiesławie mało słychać. Niewierz, który daléj prowadził ród Szczawińskich, był najzapobiegliwszym gospodarzem, bo na wsze strony dobra i ziemie skupował, a między innemi i od brata kantora płockiego nabywał części w Waliszewie 1414 r. Najwięcéj zaś rycerskim mężem był Jędrzej. W Węgrzech najprzód za Zygmunta króla na Turki i Wenetów sił sprobował, a potém i w ojczyznie się wsławił, „mąż niemniéj heroiczny niż pobożny.“ Wróciwszy do swoich, jeździł z sejmu niepołomickiego, razem z innemi, w poselstwie (na którego czele stał Wojciech Jastrzębiec biskup poznański) od króla Jagiełły do Wacława czeskiego; miała tam się niby godzić Polska z Krzyżakami (w1409 r.)(1), ale zabiegi na nic się nie zdały. Niesiecki to jeszcze o nim pisze, że umiał uprzedzać następujących nieprzyjaciół zamysły, obierać obronniejsze miejsca dla stanowisk obozowych, łudzić nieprzyjaciół gotowością do boju, a tymczasem długą zmorzonych strażą, wytrzymawszy, ogłodziwszy i zwątliwszy, nagle napadał i konał. Chodził z królem Jagiełłą na wojnę krzyżacką, a po bitwie grunwaldskiéj zdobywał zamki niemieckie. Po wzięciu Hohensteinu, „nazajutrz, to jest w sobotę, opowiada Bielski (2), Morąg, miasto i zamek mocny, między jeziory i błoty, poddał mu się (Jagielle), który zlecił Andrzejowi Brochowskiemu.“ Później król przełożył jako starostę naszego rycerza nad Sztumem i zlecił mu razem z innemi obronę ziem zdobytych na zakonie. Brochowski dzielnie się sprawiał. Ze Sztumu raz wraz napastował mistrza w. i pod Malborg zapuszczał się na wycieczki. Aż się raz rozgniewał mistrz, i obległ go w Sztumie i wszystką mocą całe sześć niedziel tam go dobywał. Już myślał odciągnąć, sądząc że nic nie sprawi, aż nagle wieża z prochami zapaliła się w zamku, nie wiadomo czy z przygody, czy przez zdradę. Mistrz więc znowu kusił się o zamek, w którym Brochowski się bronił póki mógł „dziurę w murach drzwiami za-

KOŚCIÓŁ W BROCHOWIE.
Rysował z natury Gerson, rytował G. Röber w drzeworytni Tygodnika.

(1) Niesiecki tom VIII str. 307.

(2) Dan w Warszawie, w piątek po oktawie Trzech Królów 1356. Obecni przy tém: Stefan sędzia sochaczewski, Mikołaj kasztelan czerski, Jan podkomorzy rawski, brat jego rodzony dictus Macina, Marcyusz skarbnik i t. d. Akta kons. warsz. ks. 13 fol. 89. Meczislaus prob. poz.

(1) Codex dipl. Rzyszczewskiego T. 1 nro XV, XVI i XLIII.

(2) 14 października w dzień św. Kaliksta. Akta kons. warszaw. ks. 13 fol. 90. Obecny przy tém Paweł chorąży i Michał starosta płoccy, Stanisław Graf ze Szreńska, Sasin z Trąbek, Mikołaj podskarbi nadw. i t. d.

(1) Bielski pod r 1409.

(2) Wydanie Gałęzowskiego, Zbiór pisarzów polskich T. 14 str. 26.

(Obacz Dodatek.)

SZACHY.

ZADANIE XXVII.

(*S. B. w Warszawie*).

Białe zaczynają i dają mata za czwartém posunięciem.

Czarne.

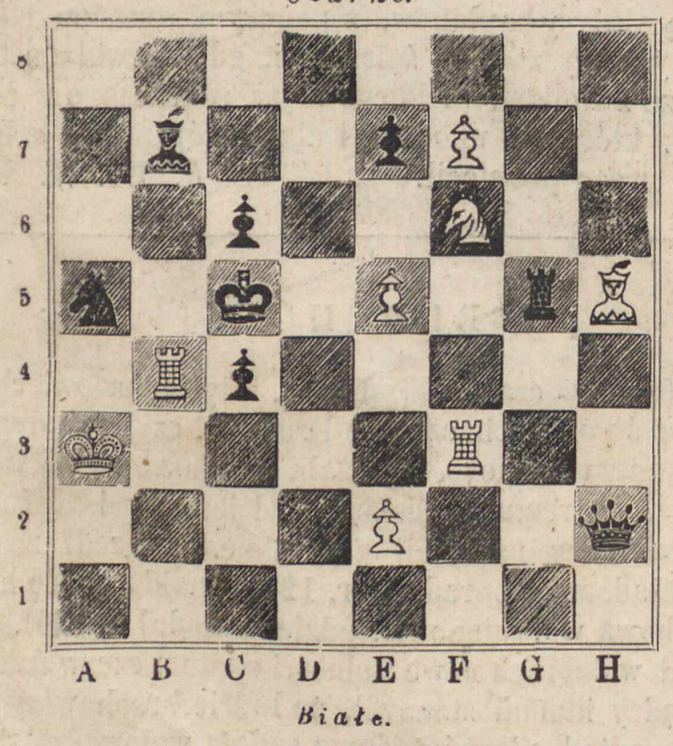

Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 26.

Białe.	*Czarne.*
1) G 7 — E 8 † . . .	1) A 8 — E 8 bierze
2) D 4 — B 5 † bierze .	2) D 6 — C 6 bierze
3) G 5 — C 5 † . . .	3) D 3 — C 5 bierze
8) B 5 — A 7 † i mat.	

Gdyby czarne w trzeciém posunięciu nie biły królowéj, lecz usunęły się królem na D7, wtedy królowa z C5—C7 bierze i mat.

REBUS.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 35.

Kapelusz panama na głowie mianowicie w lecie miło się nosi.

(Dodatek.)

prawiwszy i ziemią zafasowawszy.“ W ostateczności dzielny człowiek słał do króla co każe robić, bo sam dobrowolnie ustąpić nie chciał. Król kazał mu poddać zamek, co i uczynił. Za stratą Sztumu, poszła i strata Moręga. Działo się to wszystko pod koniec paźdz. 1410 r. Dobywał téż Kowalewa i gołubskiego zamku.

„Chudy pachołek“ był Brochowski, ale „człowiek umiejętny.“ Nie zapomniał mu tego król, u którego był w wielkich respektach, i ztąd kiedy znowu do wojny przyszło z Krzyżakami, w lat dziesięć po grunwaldzkiéj wyprawie, dał mu sprawę wszystką nad szlachtą kujawską, żeby broniła granic koronnych. Nie podobało się to wielce wojewodom inowrocławskiemu i brzeskiemu, których król także na straży od granicy postawił. Nie zważali na to, że Brochowski był od nich „sprawniejszy“, że miał także swoje stanowisko wśród szlachty. Rozgniewawszy się tedy odjechali, a Brochowski położywszy się pomiędzy Muzynowem a Orłowem, czekał na nieprzyjaciela i niczego nie opuścił, co nań przystało. Komtur toruński wyciągnął raz na niego nocą z Torunia i złączywszy się z rajtarami, których na Nieszawie było do 800 ludzi, zamyślał zejść starostę w nocy, ale dokazać tego nie mógł, bo ledwie na piérwszą straż natrafił, zaraz się druga spostrzegła i za nią trzecia i dała znać swoim do obozu. Brochowski nic nie zrobiwszy, skoczył ze swojemi i uderzył na wrogów, którzy już nadciągnęli. Bił się z niemi w nocy po księżycu i wygrał małym fortelem, bo 30 koni wysławszy w inną stronę, podnieść nakazał krzyk; Niemcy sądzili że grom na nich spada i pierzchali haniebnie, a nasi ich gonili, „których jeśli co do lasu uszło, tedy ich nazajutrz chłopi znajdowali i przywiedli. Tamże oprócz innych, wiele więźniów porzuconych pojmali i 12 Krzyżaków. Komtur uciekł. Było to w r. 1422.

Tak dzielnym mężem był piérwszy Brochowski ze Szczawina. Mimo to nie wiemy kiedy umarł ten dzielny hetman, co to „między innemi kawalerami za Jagiełła króla był znaczny.“ Starostą brzeskim w r. 1431 jest już Mikołaj Tumigrała z Sękowa, zdrajca ojczyzny i przyjaciel Krzyżaków; musiał więc przed tym czasem umrzéć Jędrzej. Nawet względem nazwiska jego wahają się historycy. Niesiecki szczególniéj plącze swoje opowiadania o Jędrzeju; zapomniawszy że szedł ze Szczawińskich, liczy go w jedném miejscu do herbu Ossorya i ztąd nazywa Brochockim, chociaż w dwóch innych miejscach o Brochowskim wyraźnie pisze. Inni starostę tego piszą z Brochocic, z Brochocina, nazywając go Brochocickim i t. d.

Historya dalszych Brochowskich, jaką do dziś dnia mamy, nie wiąże się z Jędrzejem, w Niesieckim albowiem nagły przedział znajduje się od Jagiełły do Zygmunta Starego. Za tego króla kwitnął Jan Brochowski stolnik gostyński, może w prostéj linii potomek Jędrzeja deputowany kommissarzem do Miedniewic, dóbr królewskich. Obok tego Jana, kwitnęli i inni Janowie, jakoto Jan stolnik liwski, Jan scholastyk krakowski i t. d.; rodzina widać była dosyć rozgałęziona. Jan stolnik gostyński, z Anny z Targonia, herbu ślepowron, miał syna znowu Jana, wojskiego warszawskiego. Ten drugi Jan w kronice Brochowa postać to bardzo ważna, wojski albowiem zniósł kościół drewniany, który pozostał po książętach mazowieckich, a wystawił nowy, murowany, nadał go funduszami, i podniósł do stopnia prepozytury. Umarł nie dokończywszy fundacyi w r. 1551, a wtedy wdowa po nim, Katarzyna z Ławy herbu pomian, córka Stanisława ze Strzegocina wojewody mazowieckiego, dokończyła budowy wspólnie z synami Stanisławem i Janem w r. 1554. Nowy ten kościół i dalszy rodowód panów na Brochowie zupełnie w Niesieckim poplątany. Jest u niego jakiś kasztelan zakroczymski Jakub, żonaty z podskarbianką kor. Firlejówną, a pod Firlejami pisze Niesiecki, że Zofia córka podskarbiego była najprzód za Noskowskim podkomorzym lubelskim, a potém za Pawłem Brochowskim kasztelanem zakroczymskim. Więc Niesiecki sam się zbija, a jak dotąd, ani Jakuba ani Pawła Brochowskich nie odkryliśmy w szeregu kasztelanów zakroczymskich. Późniéj u tego Jakuba jest syn Krzysztof, podkomorzy i Jan kasztelan zakroczymscy; od Krzysztofa idzie tylko Jan Franciszek starosta liwski, a od kasztelana synowie: Feliks, pisarz ziemski zakroczymski, Adam, kasztelan sochaczewski i Stanisław. I na tém koniec.

Tymczasem inny zupełnie rodowód Brochowskich znajdujemy w różnych duchownych aktach urzędowych konsystorza, któreśmy przeglądali. Zdaje się, że wszyscy ci panowie, których tutaj wyliczyliśmy z Niesieckiego, szli z jednego pokolenia, nie zaś z dwóch, to jest byli synami Piotra, który w jakim był stosunku z Janem stolnikiem gostyńskim, jak na dzisiaj, niepodobna rozstrzygnąć.

Piotr ten, wojski sochaczewski, żył już za Zygmunta III. Dziedziczył na całym Brochowie. Po usunięciu się Pawła z Wiązowny, wsadzono mu do wsi w r. 1593 na proboszcza Jędrzeja Rakowskiego, z którym Piotr zacięte prowadził wojny. Rakowski był tylko klerykiem, a do tego człowiekiem strasznie niespokojnym. Na wszystkie strony kłócił się o dziesięciny, Mikołaja Chawłowskiego z Małocic pozywał, toż samo dochodził swoich zaległości od parafian, i wymieniał w aktach długą ich listę (1595). Piotr postanowił proboszcza wysadzić z Brochowa i dał mu zapozew do konsystorza warszawskiego, ale sam nie stanął do sprawy jak i Rakowski, obaj przez pełnomocników ucierali się z sobą. Sądził dziekan warszawski Kossacki, który wtedy oficyała zastępował, zwolennik Rakowskiego; kiedy mu nakazywał by święcił się zaraz na akolitę po św. Małgorzacie, Rakowski pokazał dowód podpisany przez sufragana płockiego Stanisława Brzozowskiego, że już wziął to święcenie. Wtedy oficyał nakazał mu powtórnie żeby przystępował do dalszych i żeby co kwartał brał nowe. Na to dziedzic obrażony zaapellował do księcia prymasa i sam oficyał mówił do niego:

— Sądzę żeś nie obrażony, ale nie mogę ci bronić dalszego postępowania, udaj się do wyższéj władzy.

Zewsząd spadła biéda na ks. Rakowskiego. Oficyał nakazał Chawłowskiemu, żeby dziesięciny płacił do Łomny (1593), a ledwie pozwał Rakowski o zaległości parafian, już usunąć się musiał dobrowolnie z Brochowa; zrobił to przez zastępcę (23 marca 1595). Miejsce jego zajął ks. Benedykt Żaboklicki, dawniéj proboszcz z Pawłowic. Musieli jednak miéć prawa swoje do Małocic księża brochowscy, kiedy i Żaboklicki długie a uparte spory prowadził o dziesięciny snopowe z plebanem łomieńskim Bonieckim. Zaczął dochodzić prawa swego zaraz w r. 1595. Moc spowodował różnych wyroków, zapozwów, apellacyj (1598-1604. Sprawa została nierozstrzygniętą, wtenczas gdy proboszcz łomieński ciągle protestował. Żaboklicki był kanonikiem poznańskim i umarł r. 1619 lub 1620. Piotr, ciągle jeszcze wojski, osadził wtedy na probostwie Macieja Dzierżanowskiego, który się instytuował w konsystorzu 13 marca 1620 r.

Piotr wojski, o ile sami dochodzimy z akt, miał wielu synów, jakoto: Krzysztofa, Adama, Jana i Feliksa; był i piąty brat, jak widzimy z Niesieckiego, Stanisław.

Z synów tych najprędzéj pokierował się Jan, który został podkomorzym zakroczymskim, a w r. 1620 przesiadł się do senatu na kasztelana zakroczymskiego (1), piérwszy z Brochowskich senator. Piotr wojski ojciec, wziął po nim dopiéro wtedy podkomorstwo (2). Był to już dojrzały starzec i nie doczekał najpewniéj śmierci jednego z synów swoich Stanisława, który był „rotmistrzem pamiętnym przeciw kozakom rebellizującym i Gustawowi królowi szwedzkiemu, w Jaworowie dnia ostatniego czeka i tam pochowany“ (Niesiecki). Stanisław miał udział zapewne w wojnach pruskich, pod dowództwem Koniecpolskiego staczanych (w r. 1625-6). Że uprzedził ojca do grobu, wiemy, bo jest w aktach grodzkich sochaczewskich we wtorek przed św. Janem Chrzcicielem r. 1627 spisany dokument, na mocy którego cztérej bracia: Adam, Krzysztof, Jan i Feliks dzielili się dobrami ojczystemi. Dzielili się sami, a więc po śmierci ojca; dzielą się bez Stanisława, a więc nie żył także. W istocie już r. 1627 Mikołaja Łopackiego spotykamy na podkomorstwie zakroczymskiém.

Jan kasztelan zakroczymski był na sejmie r. 1628 mianowany kommissarzem do rozgraniczenia województw podlaskiego i brzeskiego. W dziesięć lat jeszcze ojczyzna potrzebuje także jego usługi, w roku 1533. Za żonę miał Krystynę Nadarzyńską, kasztelankę wiską. Tutaj co do tego Jana nową napotykamy trudność. W aktach konsystorskich znajdujemy układy familijne pomiędzy bracią: Janem, Pawłem a Feliksem, już pisarzem ziemskim zakroczymskim w r. 1645, które dałyby nam powód do wniosku, że Jan nie umarł senatorem i na świecie, ale że poszedł na księdza, może stroskany po śmierci żony. Jan dziedziczył sam na Kłódnie, a posiadał summy na Strzegocinie, Koziorowie, Sułkowie i Zawisłach, razem 23,000 złp. Zdaje się że te wioski padły działem Feliksowi. Jan zapewne ustępował dóbr bratu, pod warunkiem spłacenia owéj summy 23,000, drugiéj 3000 z Kłodna. Chciał zrobić nową fundacyą duchowną dla siebie, to jest albarią przy kościele brochowskim. Ugodę spisali bracia na dniu 3 kwietnia 1645. Feliks kładł tylko warunek, aby Jan nie podnosił summ, aż póki kanonicznie beneficyum swego nie obejmie. W istocie zeznał tę darowiznę w konsystorzu warszawskim 30 marca 1646. Był już wtedy klerykiem dyecezyi poznańskiéj i sekretarzem królewskim. Jeżeli nie przypuści się tego końca, wtedy trudno będzie pogodzić w rodowodzie Brochowskich Jana, kasztelana zakroczymskiego z r. 1620, z Janem Paulem klerykiem poznańskim z r. 1646. Data Niesieckiego nie bruździ tutaj, ten albowiem historyk szlachty śmierć kasztelana składa na r. 1647, właśnie na tę epokę, kiedy żyć przestał dla senatu i świata polskiego, oddawszy się zupełnie dewocyi.

(Dokończenie nastąpi).

(1) mianowany 25 stycznia 1620. Metr. 166, 28.

(2) mianowany 28 sierpnia 1620. Metr. 166, 280.

KOMMUNIKACYE, PRZEMYSŁ I HANDEL.

Jeden z podróżujących przed kilką laty po kraju naszym pisarzy uczynił uwagę, że w kwestyi dróg i traktów bocznych wiele jeszcze liczymy na wynalazek kierowania balonami, który w przyszłości uczynić ma niepotrzebnemi kommunikacye lądowe i wodne, z całym ich niezgrabnym dzisiejszym przyborem. Lubo w ciągu lat ostatnich ogólny stan dróg i traktów bocznych materyalnie niewielkiemu uległ postępowi, to jednak przycinek dowcipnego turysty wiele traci na swéj sile, w obec zajęcia jakie budzą projekta ulepszenia kommunikacyj krajowych w łonie naszego obywatelstwa. Nie potrzebujemy zdaje się dowodzić, ile ruch podobny, w ujednostajnione formy ujęty i do wspólnego celu skierowany, wpłynąć może na podniesienie rolnictwa, przemysłu i handlu, a zatém na pomyślność całego kraju. Przywykli powoływać się na liczby, wpomnimy tylko iż siła mogąca być rozporządzoną przez komitety szarwarkowe z łona obywatelstwa powołane, daje się obliczyć w całym kraju na 493,248 dni sprzężajnych i 603,940 dni pieszych, czyli na wartość pieniężną 2,448,000 złotych polskich. Cyfra ta wyraża li tylko siłę przywiązaną do dróg bocznych i drugiego rzędu traktów, a uiszczaną w naturze; prócz téj zaś są wyznaczone dość znaczne dodatkowe fundusze przez skarb królestwa, jak również otwartą jest droga dobrowolnych ofiar dla obywateli, przez których majętności drogi przechodzić będą. Dziś już ruchu tego nie same tylko moralne wskazać możemy owoce, znaczy on się bowiem postępami w robotach około linij kommunikacyjnych, których jaknajprędsze ukończenie staje się coraz żywotniejszą sprawą dla niejednéj okolicy. W poprzednich naszych artykułach o tym przedmiocie wspomnieliśmy, że linie kolei żelaznych wywołują powstawanie dróg bitych w okolicach przez które przechodzą; dziś możemy przytoczyć fakta, które ten pewnik ekonomiczny popierają w sposób niezbity i dotykalny. Wiadomo że droga warszawsko-wileńska, wychodząc z za Pragi, przetnie grunta wsi Ząbki, Wołomina, Kłębowa, Jasiennicy, Tłuszczu, Chrzęsna, miasta Jadowa, i przeszedłszy most na rzece Liwku pod Łochowem, wyjdzie z powiatu stanisławowskiego na territorium Wielkiego, Kiełczewa, Prostyni, położonych w Siedleckiém. Pod Małkinią w Ostrołęckiém przebywa Bug, i przez miasto Czyżew, a następnie przez Dąbrowę i Gąsówkę w Łomżyńskiém, dostaje się w gubernią grodzieńską, w blizkości miasta Suraża, przebywszy na granicy most na Narwi, wyrobiony z żelaza w zakładach Ernesta Grossin i spółki we Francyi, a projektowany przez inżeniera Grilla. — Obok tego z głównéj téj arteryi wychodzić będzie od granic cesarstwa odnoga do Królewca, około 120 wiorst długa, niemałego a ujemnego znaczenia dla handlu nietylko północnych powiatów gubernii augustowskiéj, ale i całego królestwa, mianowicie pod względem obrotów tranzytowych Warszawy.

Linie te, jakkolwiek nieukończone jeszcze, dziś już wywołują postęp w robotach około dróg bitych w kierunku dawniéj wytkniętym, i projekta nowych kommunikacyj, mających połączyć okolicę z głównemi sta-

cyami kolei żelaznych. Zaczynając z góry, droga od Wyłkowyszek przez Władysławów do Kucharskini (wiorst przeszło 62), mająca być połączoną z koleją wileńsko-królewiecką, spiesznie w budowie postępuje. W powiecie łomżyńskim przedsięwziętą jest droga od Zambrowa, połączonego już z Łomżą, do Czyżewa w gubernii płockiéj, stacyi przyszłéj kolei żelaznéj. Nadto z Zambrowa zamierzają budować drogę przez Wysokie-mazowieckie do Ciechanowca, jako punktu nadgranicznego.

Komitet szarwarkowy w Tykocińskiém, zaprojektował drogę zwirową wzdłuż całego okręgu, którąby go w dogodniejszy, aniżeli to dziś ma miejsce, sposób łączyła z Łomżą, a tém samém z Warszawą i Białymstokiem, położonym na linii kolei żelaznéj. W Ostrołęckiém zajmują się wykonaniem trzech traktów: od miasta Ostrowi przez Małkinię do kolei, od granicy Łomżyńskiego przez Czyżew, a zatém również do kolei, i od Ostrołęki przez Myszyniec do traktu warszawsko-petersburgskiego. Z drugiéj strony w Węgrowskiém obywatele z ofiar dobrowolnych budują drogę od Sokołowa, na Węgrów, Liw do Kałuszyna, przez co okolice te z głównym traktem warszawsko-brzeskim związane zostaną. Oto jest mniéj więcéj ścisły obraz projektów i usiłowań pod względem poprawy kommunikacyj w téj części kraju przedsiębranych. Świadczy ten ruch, że obywatele tamtejsi poczuli całą ważność własnéj inicyatywy i żywotną stronę swego interesu.

Jeżeli teraz dodamy powstający w Aleksocie nowy udzielny dom zleceń rolników, przyszłość dla bogatéj w płody leśne i rolne gubernii augustowskiéj w jaśniejszych jak dotąd przedstawi nam się barwach. Rzeczywiście Aleksota ze swego położenia nad Niemnem, posiadająca dogodną przystań, znaczne i handlowe miasto Kowno rozłożone na przeciwległym brzegu, dość obszerne magazyny zbożowe, kolej żelazną i liczne tu krzyżujące się linie telegraficzne, jest punktem nader szczęśliwie wybranym i pozwalającym założonemu domowi handlowemu wywierać wpływ zbawienny nie tylko na okolice gubernii augustowskiéj, ale i na przyległą prowincyą Litwy. Powstawanie takich domów u nas w obecnych okolicznościach ułatwioném zostanie pożyczką, jaką najstarsza z naszych instytucyj kredytowych ziemskich wkrótce udzieli obywatelstwu, aby przyjść mu w pomoc w przeprowadzeniu kwestyi włościańskiéj i leśnéj. Nie wątpimy, że cząstka téj nowéj pożyczki użytą zostanie, mianowicie przez zamożniejszych, na założenie instytucyj miejscowego kredytu, które nie ograniczając się na jednorazowéj pomocy, wpłyną w przyszłości na ułatwienie w uiszczaniu się z zaciągniętéj obecnie pożyczki; dowiedzioną jest bowiem rzeczą, że dwa takie organa kredytowe, jak towarzystwo ziemskie i domy zleceń, wzajemnie się uzupełniają i pomagają sobie.

Pod szczęśliwą więc wróżbą organizuje się nasz kredyt rolny, dając rękojmię lepszéj przyszłości dla gospodarstwa wiejskiego. Dlatego téż z radością przyjmujemy wszelkie wiadomości o powstawaniu nowych instytucyj tego rodzaju w rozlicznych okolicach królestwa. Jeżeli sądzić będziemy z licznych korrespondencyj pomieszczanych po naszych pismach, tudzież w rocznikach towarzystwa rolniczego, umysły obywatelstwa żywo są zajęte tą sprawą, a dzielny przykład rolników płockich zdaje się będzie płodny w następstwa pomyślne.

Wiadomość o projektach (popartych częstokroć podpisami na fundusz zakładowy) nowych domów zleceń dochodzą nas niemal jednocześnie z różnych okolic kraju. Zwolennicy decentralizacyi rozsądnéj, posuniętéj do stopnia rzetelnéj potrzeby, widzimy że obywatele nasi rządzą się dotychczas trafném ocenieniem stosunków krajowych, mianowicie w wyborze głównych punktów przeznaczonych na ogniska działalności nowych domów. Przebija się to w projekcie rolników augustowskich, zakładających dom w Aleksocie, kaliskich w Kaliszu, kujawsko-gostyńskich w Włocławku, rawskich w Skierniewicach, radomskich, sandomiérskich, hrubieszowskich i t. d.

Sądzim jednakże iż wszystkie te projekta, zanim ostateczne otrzymają zatwierdzenie, przejdą ogień dyskussyi przeprowadzonéj przez pisma publiczne, które z gościnnością niezawodnie otworzą swe szpalty dla przedmiotu tyle kraj obchodzącego. My, skrępowani szczupłością miejsca, nie możemy wdawać się w teoretyczną (zdaniem naszém mało jeszcze dotkniętą) stronę téj sprawy, ale musimy się ograniczać notowaniem spełnionych faktów.

Oprócz tego ruchu jaki się objawia w łonie obywatelstwa przez organizowanie nowych instytucyj kredytowo-handlowych, niewiele naliczyć możemy rzeczy godnych uwagi z dziedziny przemysłu i handlu. Zdaje się że ta zastałość w przedsiewzięciach jest skutkiem oczekiwania ostatecznego rezultatu tworzenia się nowych domów, przeprowadzenia kwestyi włościańskiéj i leśnéj. Po załatwieniu tych kwestyj, mamy nadzieję, rozwinie się działalność przemysłu opartego na płodach rolnych, bo dziś już ślady tego ruchu widzimy w spółkach zawiązujących się celem założenia cukrowni (w Czerskiém) i licznych młynów parowych, które to ostatnie na szczególną zasługują uwagę. Rzeczywiście świetne korzyści jakie młyny parowe, połączone z innemi rodzajami produkcyi, (piekarnią, olearnią, forniernią i t. p.) w ostatnich czasach wykazały, niezmiernie zachęciły naszych przedsiębiorców do ich zakładania. Liczba takich młynów niedługo się znacznie podniesie. Ze znanych nam przytaczamy: młyn w Zegrzynku nad Narwią; Pencza w Radomiu; spólkę zawiązaną w Lublinie pod przewodnictwem p. Hempla; w Płocku pod dyrekcyą p. Kropiwnickiego. Pod Piotrkowem buduje młyn parowy kupiec Pniower; w dobrach Kotowszczyzna p. Zieliński ma budować młyn parowy na 100 korcy zboża dziennego wymlewa; podobny stanie w dobrach Stasin, własności p. Kisielnickiego, jak również w Stromicach w Radomskiém, Szczekocinach w Jędrzejowskiém, w Opolu i t. d. Młyny te, obok zaopatrywania okolic w mąkę i produkta z przerobienia ziarna pochodzące, znaczną część swego wyrobu przeznaczą na handel zagraniczny. Czy się w swoich widokach nie omylą? czas pokaże. W każdym jednak razie sądzimy, że zbyt szybkie, a na ścisłéj rachubie nieoparte rzucanie się w jednym kierunku, jest szkodliwém dla przemysłu krajowego i dla samych przedsiębierców. Przykład gorzelni, cukrowni i hut cynkowych powinien nam być nauką.

DWA WESTCHNIENIA.

OBRAZEK PRZEZ ANONIMA.

Edward mieszkał pod strychem....

Edward miał lat 22 w metryce chrzestnéj, szesnaście w sercu, ośmnaście we krwi, a wieczność całą w wyobraźni! Ojciec jego był oficerem walecznym; większą część dojrzalszego wieku przeżył *nieutulonym w żalu* wdowcem, umarł zaś ubogim weteranem, zostawiając w spuściźnie synowi: zacne imię, starą szpadę, poczerniałe szlify, trochę edukacyi i dużo biédy w przyszłości.

Tyle dostał młodzieniec od ojca. Za to od Boga hojnie był opatrzony. Ten drugi nieśmiertelny ojciec dał mu serce szlachetne, poczucie piękna, żądzę sławy, chęć do ofiary i niepospolity talent. Edward był artystą. Edward w téj chwili wstał od sztalug, przy których pracował długo, wyprostował zesztywniałe od zimna i długiego siedzenia członki, skinieniem głowy odrzucił bogate blond włosy z czoła i podniósł do góry swoje wielkie, rozumne i pełne zapału oczy, nie pamiętam już jakiego koloru.... Przedmiot na którym zatrzymało się to ogniste spojrzenie młodzieńca, oprawny w wązziuchne ramki, przedstawiał pastelowe popiersie jakiegoś prześlicznego dziewczątka, z ciemnemi oczami i uśmiechem pełnym niewinnego uroku. Był to portret Leonci.

Leoncia także mieszkała pod strychem....

Leoncia miała ośmnaście lat w metryce chrzestnéj, w sercu wiosnę kwiecistą, w główce gałązkę zielonych marzeń, w duszy wiarę i cierpliwość, w ręku igłę i pracę.

Matka jéj była żoną niezamożnego dzierżawcy na małéj wiosce; większą część swego życia przebyła w żałobnéj sukni wdowiéj, na starość zaś przeniosła się do Warszawy, z resztkami skromnéj fortuny i nadzieją wykształcenia i wydania za mąż ukochanéj jedynaczki.

Leoncia skończyła trzy klassy na jednéj z tutejszych pensyj. Mało umiała po francuzku, nie grała na fortepianie i nie tańczyła wcale. Za to dokładnie znała historyą swojéj ziemi, wierzyła w Boga i dobrych ludzi, szyła i haftowala prześlicznie, czytała wiele, czuła jeszcze więcéj i znała się wybornie na kuchni domowéj. Leoncia była prześliczną dziewicą, o co nietrudno w Warszawie pod strychami; lecz miała niewinność i dobroć, o co i na piérwszych piętrach coraz trudniéj było wtedy.... Dziś co innego! Dziś żyjemy w ciągłym postępie i wszystko pnie się do góry; dlatego to zapewne wśród, ogólnego parcia w tym kierunku, dobroć i niewinność z pod strychów uniosły się.... w obłoki!

Edward i Leoncia pokochali się już od roku. Im się zdawało że to uczucie, jak wieczność, nie miało początku i końca. Wiele bo rzeczy zdaje się młodym ludziom w wiośnie życia!....

* * *

Edward zdjął z siebie bluzę, rzucił pędzle, otarł palce ręcznikiem, uczesał przed małém lusterkiem swoje piękne, *à l' artiste* zapuszczczone włosy, włożył czarny tużurek na zgrabną postać i sięgając po wiszącą na kołku *algierkę*, (noszono wtedy algierki i szerokie strzemiączka) zawołał wzruszonym głosem.

—Żegnam cię, mój cichy i spokojny kąciku!.... Tu przeżyłem lat kilka, tu dojrzały moje myśli, wyrosły uczucia.... tu pracą zdobyłem sobie odrobinę sławy i byt niezależny; tu pot mój krwawy i łzy zwątpienia płynęły. Jutro już mnie czeka inne życie! Jutro, mój zakopciały kącik zajmie obcy mieszkaniec, a ja przeniosę się do innego gniazda, by w niém utulić moję najdroższą ptaszynę!.... Zostawiam tu wszystkie zwątpienia i złe myśli wszystkie, a zabiéram z sobą: miłość dla niéj.... ufność w Boga, skrzydła natchnień, pędzel artysty i 1500 oszczędzonych złotówek! Doprawdy, bogaty i szczęśliwy wychodzę z tego kącika, do którego przed kilkoma laty wniosłem żałobę w sercu i na sukniach, trwogę o przyszłość, imię nieznane, pustą kieszeń i ironią w duszy. Dziękuję ci, mój Boże! I tobie dziękuję, Leontyno!

Zapukano do drzwi.

— Kto tam? zawołał Edward, zmięszany cokolwiek przerwaniem mu zbyt głośnego monologu.

— Czy można wéjść, kochany sąsiedzie?

— Ah! to pan Kaźmirz.—Proszę!

W téj chwili przez otwarte drzwi ukazała się postać pana Kaźmirza. A doprawdy, postać ciekawa!

Jakiś dziwaczny, różnokolorowy szlafrok, w szerokie palmy, zawiązany w pasie, okrywał figurkę nizką, chudą i przygarbioną nieco. Na głowie pana Kaźmirza, szpakowatéj i mocno już podłysiałéj, sterczała butnie czerwona *fezka*, z takiegoż koloru chwaścikiem; w jednéj ręce trzymał stoczek zapalony, w drugiéj cybuch pieprzowy z kokosowym munsztuczkiem.

Pan Kaźmirz, wszedłszy do mieszkania Edwarda, zdmuchnął stoczek, postawił go na komodzie, a uśmiechnąwszy się chytrze, zawołał głosem energicznie ostrym, jaki wydają czasem zasuszone staro-kawalerskie organizacye:

—Oh! oh! jużto wybiéramy się w podróż?... Do licha! założę się, że do swojéj samiczki.... Nie przeszkadzam, nie przeszkadzam! Na chwilę tylko wpadłem tutaj. Jakże zdrowie kochanego sąsiada?

— Dziękuję, panie Kaźmirzu. Istotnie wybiéram się do mojéj narzeczonéj, lecz mam jeszcze pół godzinki czasu, który oddaję do rozporządzenia szanownego pana. Siadajże sąsiedzie! Można służyć cygarem?

— Dziękuję, ślicznie dziekuję. Jakże robota idzie? dodał, zwracając się nagle do sztalug i zapuszczając głębokie, iskrzące spojrzenie w płótno już odstawione od światła. Próżnujemy, kochany paniczu, dalibóg próżnujemy. A szkoda talentu! Pan Bóg dał wielki. Cóż, gdy artysta cały swój czas trwoni na sentymentach! Do licha! dodał niecierpliwie, miłość jest najgłupszą ze wszystkich rzeczy stworzonych!

Edward w milczeniu, z pobłażającym uśmiechem wysłuchał perory starego sąsiada i przysunął mu krzesło.

Gość i gospodarz usiedli.

— Więc to już dzisiaj po raz ostatni spać będziemy pod jednym dachem, mój młody przyjacielu, odezwał się znowu, lecz już innym, ironicznie smętnym głosem pan Kaźmirz. Więc jutro już utracę mego przyjemnego sąsiada? Niestety!

— Pociesz się panie Kaźmirzu. Na moje miejsce przybędzie inny, a jak wnoszę z jego wieku i fizyognomii, będzie on panu wytrwale towarzyszył w służbie pod sztandarem celibatu. A potém, narzekałeś pan

ciągle że przeszkadzam mu spać spokojnie, hałasując po nocach nad głową,

— Ba i bardzo! mój sąsiedzie kochany! W moim wieku każda reforma jest przykrą; przyzwyczaiłem się do twoich nawyknień. Lat kilka.... to nie dzień, ani godzina. Ale to już spełnione rzeczy! Nie odrobię już tego. Powiedzże mi pan, o któréj ślub i gdzie?

— O jedenastéj z rana, u paulinów.

— Pójdę tam zmówić paciérz na intencyą szczęśliwego pożycia waszego, i powinszuję pannie Leontynie czépeczka, chociaż...

— Eh! panie Kaźmirzu, dajże mi już pokój z twojemi zwątpieniami i ukryj w fałdach kawalerskiego szlafroka twoję nieubłaganą nienawiść do małżeństwa. Bo wreszcie, mój panie, znasz przysłowie: „Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.“ Ja posłałem sobie....

— Na różach! na różach!... wiem o tém! Lecz róże mają kolce ostre....

— Ale dzierżą królestwo woni i barwy. Nakoniec, gdybyś pan wiedział ile dobréj myśli, ile ufności i szczęścia uczuwam w sobie, stając na progu nowego stanu!... jak serdecznie i sumiennie pojmuję jego ważne obowiązki, z jaką odwagą i staraniem będę pielęgnował ten skromny kwiatek domowego szczęścia i rodzinnéj ciszy!... Ale co panu mówić o tém! Śmiejesz się ze mnie, wieczysty szyderco, niepoprawiony sceptyku. Wstydź się panie Kaźmirzu!

— Jaż to nie z ciebie się śmieję, kochany sąsiedzie, lecz z całego orszaku młodych i ufnych.... Każdy z was, panicze, nosi w ręku i sercu jakiś wianeczek, zerwany z drzewa jakiéjś niby wielkiéj, społecznéj idei, którym uwieńcza... osobistą namiętność. Żeniąc się z ładną i ukochaną dziewczyną, żaden nie przyzna się wprost, że to czyni k'woli swoim zmysłom lub sercu, lecz zaraz wyjeżdża na szumnym frazesie obowiązków rodzinnych, społecznego prawa i tym podobnych wielbłądach paradoksalnéj pustyni.... Pijąc, nie powié że spełnia kielich dla upieszczenia smaku, lecz go zamienia w jakiś toast błyszczący!... Dopiéro gdy serce oschnie i wystygnie, gdy po libacyi ból głowę rozpiéra, wtedy nazywacie siebie ofiarami niedoświadczenia i młodości, bo wtedy już złoty promień obowiązku i poświęcenia zamienił się w twardy i ciężki łańcuch, który wam skrępował skrzydła. Biédne ptaszki! Oh! oh! doprawdy, to śmiészne; chociaż, najśmiészniejszém jest to właśnie, że od początku cywilizacyi i ustanowienia małżeństw, wszyscy kawalerowie, udekorowani, jak ja, siwizną, marszczkami i łysiną, prawią swoje przestrogi, a wszyscy ich młodsi słuchacze, jak ty, szydzą z kazań i nie wierzą przestrogom. *Dixi*, mój młody sąsiedzie.

— W tém wszystkiém co mówiłeś, panie Kaźmirzu, jest tylko jedna prawda.

— Jaka?

— Ta, że jesteś człowiekiem zestarzałym na sercu, i zazdroszcząc innym świéżych uczuć, lub zapomniawszy że kiedyś sam także je miałeś, pragniesz wszystkich zrobić podobnymi sobie. Nudno ci na samotnym, odartym z kwiatów gościńcu twojego życia; gniéwasz się na tłum młody i przedsiębierczy, co ufny w siłę i zapał, bieży pod górę stromą i ślizką, lecz któréj wierzchołek zielenią wawrzyny i stroją róże.... A może i to cię drażni, że kiedyś, biegnąc jak oni, złamałeś skrzydła i wróciłeś z pół drogi.

Pan Kaźmirz uśmiechnął się szyderczo i rzekł:

— To co mówisz, mój młody przyjacielu, jest bardzo dźwięczne i dałoby się oprawić w piérwszy lepszy tomik waszych poezyj lirycznych. A ja ci powiadam prosto i bez ogródki, że w ogóle żaden artysta, ubogi zwłaszcza, nie powinien się żenić, nadewszystko zaś nie szukać żony pod strychem.... Tylkoż się nie zżymaj! zaraz skończę. To co ci się dzisiaj wydaje ciszą rodzinną i urokiem domowego życia, stanie się hałasem przekleństwa lub snem zniechęcenia, przy piérwszéj złotówce, któréj ci kiedyś zabraknie na twój obiad rodzinny, przy piérwszém uczuciu niedostatku, gdy twoje zmysły lub serce zapragną jednéj z tych baniek mydlanych, które świat użycia wydyma z swych ust uśmiéchniętych, przez złotą słomkę roskoszy. Będziesz, mój paniczu, łamał ręce z rospaczy, że przykułeś je do rąk kobiéty, którą się przesycisz. Powiész mi może, iż będziesz czerpał pociechę w niewinnych twarzyczach swoich dzieci.... Ba! ba! ja ci powiadam, że gdy duch poetyczny cię rozpędzi, to jadąc na tym narowistym pegazie, nie obejrzysz się nawet na kolébki dzieci i zatkasz nos przelatując koło ich pieluch, schnących przy domowém ognisku! Każdy artysta, paniczu, jest naturalnym egoistą, bo zakochany on we wdzięku swojéj twórczéj i bogatéj wyobraźni, w jéj płodach kształtnych, w jéj szlachetnych draperyach.... Gniewaj się i wzruszaj ramionami, a ja dodam jeszcze, że nie wydałbym nigdy córki za żadnego malarza ani poetę, chybaby miał tyle złota ile natchnienia. Czy wiész, mój panie, iż mojém zdaniem każdy z was jest przekonany, że Pan Bóg dla niego jedynie świat stworzył.

— Świat ducha, zapewne, bo cielesny wy raczéj wzięliście w monopol i dobywacie zeń wszystkie źródła użycia. To téż wygląda on dzisiaj jak wyciśnięta cytryna. Ale.... dodał po chwili młodzieniec, powstając z uśmiéchem, darujesz mi szanowny sąsiedzie, że mimo wysłuchania twoich szerokich teoryj, przeproszę cię i wyjdę dziś jeszcze do mojéj narzeczonéj; jutro zaś, za pozwoleniem pańskiém, ożenię się z nią koniecznie.

—Ej! ej! Nie szydź paniczu tak śmiało; kiedyś wspomnisz na moje rady, pożałujesz zmarnowanéj przyszłości artystycznéj i westchniesz....

— O to nietrudno, od roku już wzdycham ciągle, rzekł Edward, biorąc kapelusz i laskę.

— Różne bo są rodzaje westchnień, pomruknął p. Kaźmirz, zapalając stoczek.

— Do widzenia! sąsiedzie.

— Dobra noc! panie młody.

* * *

I któż nie miał szczęśliwéj godziny w życiu? Od lichwiarza, któremu powiódł się rozbój cudzéj kieszeni, do umartwionego ascety, co patrzy z uśmiéchem na marne walki z losem, staczane przez szermierzy namiętności; od mędrca wyschłego nad księgami, któremu udało się odkryć jakieś szacowne *fac simile* lub rzadki dokument dziejowy, do zgłupialego pijaka, przed którym postawią butelkę; od studenta jadącego na wakacye, do.... staréj panny, któréj litościwe losy raz przecież zdarzyły konkurenta; od uczonego mechanika, któremu powiódł się jakiś wynalazek, do wojownika po wygranéj batalii, do dyplomaty po podpisanym przezeń traktacie.... każdy i każda, mieli tę jednę chociaż dobrą chwilę, i ta staje się późniéj epoką, od któréj liczą się dalsze wypadki życia, bieżącego przykro lub bezbarwnie. Lecz wszystkie tego rodzaju upojenia i tryumfy, czyliż mogą porównać się z tą jedną jasną, archanielską chwilą, gdy dwa młode, szlachetne, rozkochane serca zadrżą obok siebie; gdy dwa spojrzenia, pałające brylantem czystego ognia, zatopią się w sobie, a zaplecione w uścisku dłonie zdają się ufać, że ich już nikt nigdy nie rozdzieli!?...

Taką chwilę mieli Edward i Leontyna, gdy po powrocie z kościoła, po błogosławieństwie ołtarza i matki, stanęli samotnie wśród swojéj nowéj siedziby, pełnéj światła i kwiatów....

Biédne dzieci! nie wiedziały jak nacieszyć się z sobą.... nie miały słów na podziękowanie Bogu że dobry, światu że jasny, życiu że tak szczęśliwe!!...

Z jakąż dumą ta dziewica w czépku mężatki, rozpatrywała się w swojém małém królestwie! z jaką staranności otwiérała wszystkie szafki, opatrywała naczynia małéj kuchenki domowéj! Jéj skromny lecz jasny i czysty salonik przejmował ją uczuciem pychy; poglądała z roskoszą na ściany jego, przystrojone bogato w arcydzieła mężowskiego pędzla, ubrane w ramy pozłociste! Co chwila jéj oczy, zwilżone łzą i rozjaśnione uśmiéchem, zwracały się na ukochanego przewodnika po tym Edenie małżeńskim.... A gdy następnie ta para szczęśliwych dzieci stanęła w progu sypialni, gdzie promieniało oblicze Matki Bożéj, wtedy.... z dwóch piersi, z dwojga ust uleciało jedno złączone westchnienie, które jak kwiat skrzydlaty uniosło się ku niebu! Takiém westchnieniem odetchnęła po raz piérwszy pierś nowostworzonego człowieka w raju! Węża.... i ognisty miecz wygnania, późniéj stworzono.... *(dalszy c. n.)*

SPRAWOZDANIE
DYREKTORA
INSTYTUTU MUZYCZNEGO WARSZAWSKIEGO.

Od chwili, gdy upoważniony od rządu uczyniłem odezwę do kraju, polecając jego współczuciu i czynnemu poparciu mający się utworzyć w Warszawie instytut muzyczny, liczne i ze wszech stron kraju nadsyłane składki, lub organizowane na miejscu na dochód tegoż instytutu, zaświadczyły wymownie, jak dalece kraj cały uznawał ważność i potrzebę istnienia konserwatoryum krajowego, jak gorąco i serdecznie odpowiedział wezwaniu w imię publicznego dobra.

Dziś tedy czuję się w obowiązku podać do wiadomości ogółu, jaki jest rzeczywiście stan funduszów dotąd zgromadzonych na rzecz instytutu muzycznego i jakich jeszcze poświęceń zakład ten od współobywateli oczekuje.

Niektóre pisma tutejsze, uniesione gorliwością i działając w dobrym celu, bo chcąc zapewne podnieść zasługę kraju i pochlubić się tak gorącym ogółu udziałem, niejednokrotnie odzywały się, że składki na instytut muzyczny już dorosły oznaczoną przez rząd summę; inne znowu pisma, z odmiennych powodów, głosiły że fundusze dotąd zebrane, przewyższają zakres przepisami oznaczony.

Dziękując szczérze piérwszym, a nie badając powodów drugich, oświadczam jednakże dzisiaj, że summa rs. 43,175, *konieczna* do istnienia konserwatoryum naszego, nie jest dotąd uzupełnioną.

Ze wszystkich składek, koncertów i innych źródeł, wpłynęło (po dzień 23 kwietnia b. r.) do kassy instytutu *rs. 34,087 kop. 2*, która to kwota złożoną została przez dom handlowy *A. Rawicz et comp.* do banku polskiego, i tamże obecnie się znajduje.

Nie wątpię że summa brakująca utworzy się ze składek i zabaw rozlicznych na ten cel obecnie agitujących się na całéj przestrzeni kraju, lecz właśnie dlatego potrzeba koniecznie, ażeby szanowne osoby przewodniczące tym składkom i zabawom, raczyły pospieszyć się z nadesłaniem zebranych funduszów, bądź pod adresem moim, bądź wprost do domu handlowego *pod firmą A. Rawicz et comp. w Warszawie*; zebrane zaś summy do banku polskiego odesłane zostaną.

Wprawdzie summa którą rząd przed otwarciem instytutu zebrać zastrzegł, byłaby w komplecie, gdyby ofiary na piśmie przyrzeczone, przez uiszczenie się z zobowiązań zrealizowane zostały; w obecnéj jednak chwli wiele jeszcze wpływów że źródła tego spodziewanych zalega. Toż samo da się powiedzieć o wpływach ze składek dyecezyalnych i powiatowych, jak niemniéj z koncertów, balów i zabaw, które w rozmaitych okolicach królestwa i cesarstwa, albo dopiéro są na drodze kompletowania, albo chociaż zebrane, dotąd wszakże do Warszawy nadesłane nie zostały.

Uwzględniając to opóźnienie, które wynikło najbardziéj może skutkiem utrudnionych kommunikacyj, rada administracyjna królestwa, decyzyą z dnia 29 kwietnia (11 maja) r. b., przedłużyła termin do ostatecznego zebrania funduszów pierwotnie ustanowionych, po dzień 18 (30) lipca r. b. Gdy jednakże to przedłużenie nie jest zbyt rozciągłe, a zbliża się chwila otwarcia konserwatoryum, przedsięwziąłem przeto odezwać się obecnie do wszystkich osób, jakotéż do zbiorowych towarzystw, które raczyły przyjąć na siebie obowiązek organizacyi zabaw i składek na rzecz instytutu, a zarazem zawiadomić, że lista ogólna, wykazująca poszczególowie i imiennie wszystkie dyecezye, powiaty, miasta, zgromadzenia, tak w cesarstwie jak i w królestwie, które przyłożyły się do wzniesienia téj instytucyi, oraz ofiarodawców fundatorskich i stypendyalnych funduszów, będzie ostatecznie ogłoszoną z końcem lipca r. b.

Tak więc przedewszystkiém upraszam:

1. Dyecezye, dekanaty, probostwa, które fundusze na stypendya ofiarowały i zebrały, aby przesyłkę onych przyspieszyły.

2. JJWW. marszałków gubernialnych cesarstwa i królestwa, oraz marszałków powiatowych cesarstwa, aby zebrane przez nich stypendya protektorskie i ofiary zakładowe, spiesznie nadesłać i zwrócić doręczone im kwitaryusze lub listy subskrypcyjne raczyli.

3. Ofiarodawców, którzy bądź to na kapitał zakładowy, bądź na stypendya pomoc swą przyrzekli i na piśmie liczebnie ją oznaczyli, aby z zobowiązań swoich przed terminem powyższym uiścić się pospieszyli.

4. Osoby które urządzeniem koncertów, zabaw, balów i t. p. na rzecz instytutu muzycznego zajmować się raczyły, aby zebrane przez nie z tych źródeł fundusze, jaknajrychléj do Warszawy odesłały.

5. Wreszcie upraszam również szanowne zgromadzenia starszych wszelkich fabrycznych, kupieckich i rzemieślniczych zakładów, ażeby także ze swéj strony nadesłały składki zebrane, wraz z listami subskrypcyjnemi.

Udział tych zgromadzeń w składkach na instytut muzyczny, jest zaszczytném świadectwem, że wszystkie warstwy krajowego społeczeństwa, jedném powodowane uczuciem, łączą swe środki i ręce do wzniesienia tego przybytku *krajowéj sztuki*.

Na zakończenie czuję się w serdecznym obowiązku i niemałym zaszczycie, złożyć podziękowanie wimieniu instytutu muzycznego tym wszystkim osobom, które udziałem swoim dotąd tak wytrwale się przyczyniali do zebrania summ już nadesłanych. Szlachetny ich przykład jest już dziś pobudką dla tych, którzy zechcą jeszcze przystąpić z ofiarami dla instytutu, i daje oraz zaszczytne świadectwo ich gorliwości obywatelskiéj w przedsięwzięciu, którego celem jest wzrost i rozwinięcie *instytucyi krajowéj*. *Apolinary Kątski.*

Warszawa dnia 17 (29) maja 1860 roku.

DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście,

w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała następujące nowe dzieła:

Kultura łąk, napisał po niemiecku W. Haffer, przełożył na język polski Albin Kohn, z drzeworytami w tekscie i tablicami litografowanemi. Cena rs. 2. — Pomniki i mogiły polaków na cmentarzach zagranicznych zebrał i opisał Eustachy Marylski (z 7ma kolorowanemi rycinami). Cena rs. 2 kop. 25.—Pielgrzym w Dobromilu, czyli nauki wiejskie z dodatkiem powieści, wydanie nowe poprawione. Cena kop. 60. — Wizerunki królów i książąt panujących w Polsce, od Mieczysława 1go do Stanisława Augusta, zebrane i rysowane według autentycznych źródeł przez Aleksandra Lessera, 40 portetów w formacie zmniejszonym zeszyt 1szy z przedpłatą na 10 zeszytów. Cena rs. 5. Po wyjściu dzieła cena podwyższoną będzie na rs. 10.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

G. Gebethnera i spółki,

w Warszawie przy ulicy Krakowskie - Przedmieście Ner 415 w pałacu JW. hr. Stanisława Potockiego,

otrzymała następujące nowości literackie:

Natura wilka wyciąga z lasu, monodramat wierszem, z dodaniem garstki nowych poezyi Władysława Syrokomli. Cena rs. 1. — Żywoty prymasów korony Polskiéj i wielkiego księztwa Litewskiego, 5 tomów. Cena rs. 6.—Próby nowego dykcjonarza, wydaje p. Wirszaytos. Cena kop. 60.—Biblioteka podróży i molowniczo-historycznych afiszów różnych krajów, wydawana przez Adama Zawadzkiego, serya 7a. Araukania i jéj mieszkańcy, przez Ignacego Domejkę. Cena kop. 90. — Wrażenia pielgrzyma po swojéj ziemi, poemat Władysława Syrokomli. Cena rs. 1. —Kultura łąk, napisał po niemiecku W. Haffer, przełożył na język polski Albin Kohn, z drzeworytami i tablicami litografowanemi. Cena rs 2. — Fabiola, powieść z czasów prześladowania chrześcian w roku 302, napisana w języku angielskim przez kardynała Wisemana, wydanie drugie poprawne. Cena na papierze welinowym rs. 1, na zwyczajnym kop. 67½.— Prosty wykład nauki kościoła świętego Rzymsko-Katolickiego, nowe wydanie poprawione za approbacyą zwierzchności duchownéj. Cena k. 67½ — Wianek krzyżowy na cześć najsłodszego serca JEZUSOWEGO i niepokalanego serca MARYI. Cena kop. 15. — Katechizm Rzymsko-Katolicki, przez ks. Chwaliboga. Cena kop. 30.— Powiastki i bajki St. Jachowicza wydanie siódme 3 tomy. Cena rs. 1 kop. 20.— Pieśń dawna do BOGA-RODZICY, wydał Michał Walewski. Cena kop. 7 i pół. — Sztuczne zarybianie sadzawek, stawów, jezior i małych rzek, rzecz zebrana z rozmaitych ogłoszeń, wyprobowanych doświadczeń szczególniéj przez pp. Coste, Millet, Quatrafages, Detzem i Berthot. Cena kop. 10.

Taż księgarnia otrzymała na skład główny następujące wydane w Petersburgu dzieła: Pismo zbiorowe wydane przez Józefata Ohryczko, dwa tomy. Cena rs. 3 kop. 50.—Dzieje żywota i utworów Goethego, oraz zarysy wieku jego i współczesnych mu mężów znakomitych; (podług ogłoszonych i nieogłoszonych drukiem źródeł). dzieło C. H. Lewesa, z angielskiego przełożył i własnemi uwagami w tekscie samym i dopiskami poczynionemi powiększył A. Nowosielski. Cena rs. 2.— Volumina legum, przedruk zbioru praw staraniem księży Pijarów w Warszawie, od roku 1732 do roku 1782 wydanego, tomów 4 z prenumeratą na tomów 10. Cena rs 20.—Zasady ekonomii politycznéj z niektóremi zastosowaniami do ekonomii społecznéj, napisał po angielsku John Stuart Mill, dwa tomy. Cena rs. 2 kop. 40.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

R. FRIEDLEINA

w Warszawie,

przy ulicy Senatorskiéj Nro 460,

otrzymała następujące dzieła w komis na skład główny: „Dwór wiejski," dzieło poświęcone gospodyniom polskim, przydatne i osobom w mieście mieszkającym, przez Karolinę z Potockich Nakwaską, wydanie drugie poprawione wielu dodatkami powiększone, 3 tomy. Lipsk 1860 r. Cena rs. 4 kop. 50 — Nabyć można także we wszystkich znaczniejszych księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

KSIĘGARNIA

POD FIRMĄ

E. WENDE et comp.

przy ulicy Senatorskiéj Nr. 2 wprost Dobrycza,

otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Prosty wykład nauki kościoła świętego Rzymsko Katolickiego nowe wydanie poprawione. Cena kop. 67 i pół — Fabiola, kardynała Wiseman. Cena na papierze zwyczajnym kop. 67 i pół, zaś na papierze welinowym rs. 1.

Są także do nabycia we wszystkich znaczniejszych księgarniach w Warszawie, a na prowincyi u St. Artza w Lublinie, u L. Możdżeńskiego w Kielcach, u Stablewskiego w Płocku i u Hurtiga i Rühla w Kaliszu.

KSIĘGARNIA

A. NOWOLECKIEGO

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście wprost kolumny Zygmunta Nro 457,

pośpiesza donieść, iż otrzymała nowości nakładem księgarni *w Żytomierzu* wydane, a które po cenach przez tęż ustanowionych, nabyć można: Belke G. „O Szarańczy i sposobach jéj wygubienia," z przypisami E. M. Galli, 43 stronnic, kop. 15. — Chwalibóg ks. „Katechizm Rzymsko-Katolicki," 203 str. kop. 30. — Jachowicz S. „Powiastki i Bajki wydanie 7me," 3 tom. rs. 1 kop. 20.—Konopacki Sz. „Chronologia dziejów Król. Polsk.," tom 1 str. 218 rs 1.—„Latopis Nestora, stary tekst mnicha Lawrentego z XIV wieku oddział 1szy," 271 str. rs. 1 kop. 50.—„Pielgrzym w Dobromilu," czyli nauki wiejskie z dodatkiem powieści z 10ciu rycinami, 273 str. kop. 60.—Siemieński L. „Kartka z dziejów sztuki i poezyi," 171 str. kop. 55. „Zarybianie sztuczne sadzawek, stawów, jezior i małych rzek," 34 str. kop. 10. — Groza A. „Smieciński powieść szlachecko-ukraińska część 1sza," 72 str. przedpłata na 3 części rs. 1 — „Pieśń dawna do BOGA-RODZICY," uzupełniona dawnemi strofami, z wizerunkiem MATKI BOSKIEJ Częstochowskiéj. 6 str. kop. 15. „Wianek krzyżowy," na cześć najsłodszego serca JEZUSOWEGO i serca MARYI, str. 24 kop. 15.

KSIĘGARNIA

SKŁAD NUT MUZYCZNYCH I MAPP

STANISŁAWA ARZTA

w Lublinie.

Niniejszym zawiadamia, iż tak książki jako też i nuty, **sprzedaje po tejże saméj cenie i na tych samych warunkach co i w Warszawie** (podług katalogów), kupującym za znaczniejszą sumę stosowny rabat ustępuje, przyjmuje prenumeratę na dzieła i pisma perjodyczne w kraju i za granicą wychodzące, również **po cenach warszawskich, bez żadnego doliczania za koszta transportu**. Obstalunki wszelkie uskutecznia w jak najkrótszym czasie. Nowości z książek i nut w krótce po wyjściu otrzymuje.

CZYTELNIĘ POLSKĄ i FRANCUZKĄ ciągle nowościami pomnaża.

DOM HANDLOWO-KOMISSOWY

nasion, produktów i narzędzi rolniczych

otrzymał w tych dniach:

Pługi z fabryki *Konopki* w Mogilanach

Pługi i ruchadła z fabryki *Gołaszewskiego* w Targowiskach.

Siewniki, grabie do koniczyny, grabie howarda, młyny, wialnie i t. d. z fabryki H. *Cegielskiego* w Poznaniu.

Drapacze, żłoby, drabiny żelazne i inne narzędzia z fabryki *Niekłańskiéj*.

Płużyce i pługi z fabryki *Gocelskiego* w Sulejowie.

Bryczki i wózki węgierskie z fabryki *Bierzyńskiego et comp.* w Snochowicach.

Gwoździe z fabryki w *Drążdżewie*.

A. Rodkiewicz

ulica Miodowa, Nr. 492.

ZAKŁADY TECHNICZNE

LUDWIKA SPIESS

Skład Główny w Warszawie,

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościołka PP. Kanoniczek,

zaopatrzony został przy odpowiedniéj porze roku

W PATENTOWANE

LAKIERY

i

FARBY OLEJNE

TARTE

we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach. FARBY te, jak również i LAKIERY, są przyrządzone wprost do użytku, tak, iż każdy najmniéj nawet obeznany z sztuką malarską, może ich używać; i dla tego szczególniéj zastosować się dają do robót dla osób zamieszkałych na prowincyi, gdzie większa trudność w dokładném przyrządzeniu takowych przedmiotów.

NB. Sposób użycia jest na każdém naczyniu wydrukowany, a flaszki opatrzone są pieczęcią i etykietą zakładu.

Obsypniki do kartofli.

Pielniki angielskie z odsypnikami i bronkami, poprawione.

Grabie konne i ręczne.

Żniwiarki.

Sikawki.

Wagi dziesiętne i wszelkie inne narzędzia rolnicze, poleca

GŁÓWNY SKŁAD MACHIN

I NARZĘDZI ROLNICZYCH

dla Królestwa Polskiego i Cesarstwa Rosyjskiego z fabryki H. *Cegielskiego* w Poznaniu, przy **Zakładzie Rolniczo-Przemysłowo-Leśnym.**

Ostrowski i spółka.

w Warszawie przy ulicy Rymarskiéj Nr. 742, wprost Komisyi Skarbu.

„Grand hôtel de belle Vue"

w mieście Bonn n. Renem

przy samym brzegu Renu, w bliskości kolei żelaznéj i przystani statków parowych, poleca się wspaniałém i nader zdrowém położeniem swojém, czarującym widokiem na góry i nadreńską okolicę, zarazem eleganckiém urządzeniem wszelkich wygód i wzorową usługą przy umiarkowanych cenach.

Bonn, w maju 1860 r. N. *Stamm*, wdowa.

DYREKCYA PRZESYŁEK

WÓD MINERALNYCH

Z EGER-FRANZENSBAD W CZECHACH.

Zawiadamia niniejszém szanowną publiczność, że wszystkie większe składy wód mineralnych, w Niemczech i zagranicą, zaopatruje ciągle świeżemi posyłkami, jakoteż dopełnia w najkrótszym czasie wszelkie przesyłki zamówionych u tejże Dyrekcyi następujących wód leczących.

I. Źródło Franciszka (Franzensquelle), najdawniéj znane z tutejszych źródeł mineralnych. Woda ta jest szczawą alkaliczno-żelazistą, nader przezroczysta, musująca, bardzo przyjemnego smaku; ożywiająca i łatwa do strawienia, zawierająca w sobie najwięcéj soli żelaznych.

Działa najskuteczniéj na żołądek i trzewy, podwyższając siłę trawienia w tych organach; ztąd powstaje oddziaływanie powiększające ilość soków, a czystość i regularność obiegu krwi. Chemiczna analiza p. *Jana Floryana Kellera* professora w Wiedniu dowiodła, że w butelkach przesyłanych, napełnionych wodą z źródła Franciszka, w skutek odpowiedniego opatrzenia i zakorkowania, po długim jeszcze czasie utrzymuje się wielka ilość rozpuszczonego żelaza, co dla lekarza stanowi rzeczywiście pożądany przymiot, jakiego po wodzie żelaznéj oczekuje.

Źródło Franciszka: 1) leczy wszystkie choroby powstające z nieprawidłowego tworzenia się krwi, 2) Cierpienia, które po znacznych krwotokach, utracie soków, porodach i febrach nerwowych powstają. 3) Skrufuły i chorobę angielską. 4) Używa się nakoniec jako dopełnienie leczenia po wodach Karlsbadzkich.

II. Źródło solne (Salzquelle), woda alkaliczna czyszcząca, zasługuje na polecenie, jako jedna z najłagodniejszych i najłatwiejszych do strawienia, ze znanych wód mineralnych; w razach uderzania krwi do głowy, albo gdy inne wody mineralne, sprawiają lekkie krwi wzburzenia, może być używaną z najlepszym skutkiem, jako też i dla chorych mało używających ruchu, lub przymuszonych pić wody w łóżku, źródło to jest najwłaściwszém.

Źródło solne działa szczególniéj na chorobliwe drażnienie błony szluzowéj, a więc jest pomocne: 1) W cierpieniach powstających z chorobliwéj czułości żołądka i kanału odchodowego; w braku apetytu, powstawaniu kwasów i gazowych wyziewów, zgagi, odbijania się wraz z rozlicznemi cechami hypokondrycznych objawów. Woda z tego źródła nieco ogrzana zmieszana z mlekiem lub serwatką leczy powtarzające się często katary żołądkowe połączone boleści organu tego. 2) Długotrwałe zadrażnienia błony szluzowéj w krtani. 3) Gromadzenie się flegmy w płucach i tchawicy przy często wracających się katarach, zwłaszcza u słabowitych i delikatnych osób. 4) Hemoroidy i długotrwałe katary. 5) Przeciw kamieniowi w naczyniach moczowych. 6) Przy odchodzie flegmy zadawnionym.

III. Źródło łąkowe (Wiesenquelle), woda ta jest łagodną szczawą żelazistą, działającą na kanał odchodowy, szczególniéj u osób cierpiących na hemoroidy, a mianowicie: 1) Przy nagromadzeniu się nieczystości w żołądku i kiszkach. 2) Przy nieprawidłowém tworzeniu się krwi, nerwowém przepełnieniu i rozdęciu organów brzusznych. 3) W podagrze.

IV. Nowe źródło (Neuquelle), tak w częściach składowych, jak i skutkach podobném jest wodzie z źródła Franciszka, *działa jednak przeważnie na cierpienia części rodnych i naczyń moczowych.*

Wody te mineralne przesyłają się w kamionkach, albo butelkach opatrzonych etykietą, z nazwiskiem źródła i cynowemi kapselkami, na których rok wybity. Ceny, jako i obszerniéj wyłożone uwagi praktycznych lekarzy, pod względem uznanych powszechnie skutków tych wód, znajdują się we wszystkich naszych składach wód mineralnych, jako też w Dyrekcyi przesyłek wód mineralnych w Eger-Franzensbad.

Winc. Pröhl, Inspektor. ***Dr. Koestler,*** Dyrektor Źródeł.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W Drukarni J. Ungra.— Wolno drukować.—Warszawa dnia 21 maja (2 czerwca) 1860 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*

Redakcya przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek.